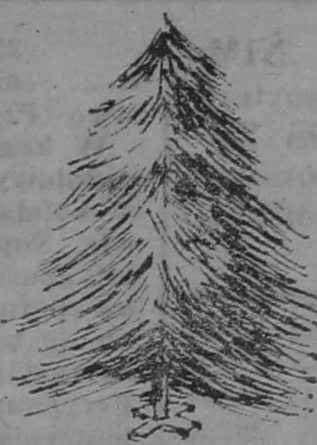




3
**bez
wzajemności**



5
**Agnieszka
szuka matki**



6
wigilia



12-13
**noworoczne
obrachunki**



**czy lubi Pani
pyzy?**



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

51-52

219-220

KONTAKTY

23 XII 1984

30 XII 1984

cena

15 zł

ANDRZEJ TCHORZEWSKI

*Abychom się zawždy
Radować umieli,
Zdrów bądź, królu świata,
A z tobą — anieli.*

*Niech wapory swarów
W obłoki odejdą.
Niech jak śnieg topnieją,
Jak lód wiosną — pełną.*

*Zdrów bądź,
Zdrów bądź, anielski królu,
Z jistego zrodzony ból.*

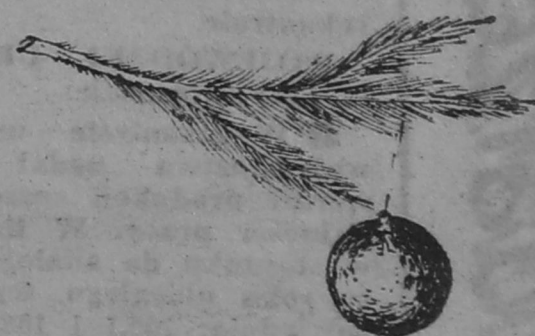
*Naszą chwałę przyjąć racz,
Wiekwisty przebyt dać.*

*Ty, Bogicu otulony
Płaszczem ludzkim kołysany.*

*Przez zasługi matki twojej
Ku niebiańskim wiedz pokojom.*

*Abychom się zawždy
Radować umieli*

*Jako ty z narodzin,
A z tobą — anieli.*



W CO WIERZYĆ?

działka nawiedzonych

ANDRZEJ POLAKOWSKI

Rozeszło się po ludziach, że Wichliński robi za cudotwórcę. Zaraz w Czarnej Białostockiej zahuczało od plotek. Jedni przyjęli wieść jako coś oczywistego, bo do cudów przywykli, inni pukali się w czoło. A Tadeusz w swoim „Agromecie” kolekcjonował doświadczenia. Koleżance z pracy zlikwidował ból głowy, z ośmiu dokuczających znajomym zębów uspokoił siedem.

NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ 3 STYCZNIA, A W NIM: Agnieszka wciąż szuka matki, a kolejny trop zawiódł reportera m.in. do Wizny ♦ w różne rzeczy ludzie wierzą, a Róża Zubiel pokłada nadzieje w grzybie ♦ metody na nieprzystosowanych ♦ i Ty możesz współredagować „Kontakci” ♦ fan-klubowe nowinki.

NAJWAŻNIEJSZYMI WYDARZENIAMI mijającego roku w naszym województwie były:

● wybory do rad narodowych z 17 czerwca, powtarzane w niektórych okręgach z powodu niskiej frekwencji,

● kompleksowa kontrola województwa przez Główną Inspekcję Terenową, niestety — nie zaliczona,

● sesja naukowa poświęcona ochronie naturalnych zasobów doliny Biebrzy i Narwi,

● reaktywowanie gminy Przytuly,

● zakończenie drugiego etapu adaptacji zespołu budynków opieki zdrowotnej przy Szosie Zambrowskiej w Łomży; oddano do użytku przychodnię urazowo-ortopedyczną oraz pracownię: diagnostyki laboratoryjnej, bakteriologiczną i rtg,

● Wojewódzki Komitet Obrony i Wojewódzki Zespół Poselski oceniły — w obecności wiceministrów zdrowia i opieki społecznej oraz budownictwa — zaawansowanie realizacji nowego szpitala wojewódzkiego; kolejne posiedzenie odbędzie się już 3 I 85 r.,

● wojewoda wprowadził ulgi dla rzemieślników kształcących uczniów i zwolnił od podatku powstające zakłady; we wsiach we wszystkich branżach, a w miastach — w deficytowych,

● ukończenie sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego oraz budynku Urzędu Gminnego w Nurze,

● oddanie do użytku trzech gminnych ośrodków zdrowia: w Piątnicy, Rutkach i (28 XII) — w Bogutach.

DZIAŁACZE robotniczy spotkali się na uroczystości 36 rocznicy zjednoczenia ruchu. Okolicznościowe przemówienie wygłosił I sekretarz KW PZPR, Włodzimierz Michałuk. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski został udekorowany Bronisław Koprowicz z Grajewa, a Oficerskim — Grzegorz Ciko. Sześćdziesięciu działaczy odznaczono medalami czterdziestolecia.

ANALIZA PRZESTĘPCZOŚCI i zjawisk patologii społecznej wśród nieletnich i młodzieży była tematem wspólnego posiedzenia Komisji ds. Młodzieży oraz Komisji Praworządności, Listów i Skarg KW PZPR. Uczestnicy spotkania skoncentrowali swą uwagę na zagrożeniu przestępczością i patologią młodzieży, wdrażaniu ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich i działalności związków młodzieży w zapobieganiu przestępczości i demoralizacji ich rówieśników. Komisja ds. Młodzieży przyjęła plan pracy na I półrocze 1985 r. oraz wnioski z plenarnego posiedzenia KW PZPR poświęconego roli członka partii w organach przedstawicielskich i samorządowych oraz organizacjach społecznych.

KONFERENCJA PRASOWA wojewody poświęcona usuwaniu nieprawidłowości stwierdzonych podczas kompleksowej kontroli GIT-u zgromadziła liczne grono dziennikarzy i trwała blisko pięć godzin. Należy mieć nadzieję, że władzom wojewódzkim nie tylko udało się przekonać dziennikarzy co do słuszności swych zamierzeń i wniosków, lecz że uda im się je zrealizować oraz — co nie mniej ważne — „zaliczyć” rekorty.

WOJEWÓDZKI URZĄD Statystyczny informuje:

● W przemyśle uspołecznionym województwa nadal notuje się wzrost produkcji sprzedanej i wydajności pracy. W listopadzie br. w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego, wyniósł on odpowiednio: 109,1 i 108,8 proc.

● Od początku kampanii do końca listopada skupiono 42 100 ton zbóż, czyli mniej niż w 1983 r. Wolnorynkowe ceny ziarna utrzymały się jednak na ubiegłorocznym poziomie, a w przypadku żyta i owsa były nawet nieco niższe.

● Wyższy był natomiast skup żywa rzeźnego (o 42,5 proc.) i mleka (o 12,3 proc.).

● Dotacje w ciągu dziesięciu miesięcy tego roku dla jednostek przemysłu spożywczego wyniosły

2544,4 miliona złotych, rolnictwa — 72,9, handlu wewnętrznego — 178,5, gospodarki komunalnej i 252,7 gospodarce mieszkaniowej — 202,3, kultury i sztuki — 7,3.

PREZYDIUM KW SD podsumowało wyniki kontroli „Sektor” i podkreśliło, że nie była to jednorazowa akcja, lecz element działań, które powinny doprowadzić do wyeliminowania nieuczciwości rzemieślników i dobrze chronić interesy klientów.

PODZAS IV Walnego Zjazdu Delegatów SD w Grajewie omówiono najistotniejsze zagadnienia społeczno-gospodarcze regionu oraz wybrano nową władzę miejską SD; przewodniczącym został ponownie Antoni Czajkowski, a zastępcami: Jan Magda i Wiesław Jerulanek.

PIĘCIOLECIE ISTNIENIA obchodził Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży. Przy tej okazji do długiej listy imprez zorganizowanych przez DST doszło jeszcze kilka interesujących, jak choćby występ grupy „Kaczki z nowej paczki”, pierwsza samodzielna wystawa Iwony Sielskiej, koncerty zespołów działających przy DST, aukcja prac artystów łomżyńskich. Rozstrzygnięto też konkurs na najlepsze prace plastyczne: nagrodę za akwarelę otrzymała Grażyna Kędziawska, za rysunek — jej mąż a nasz redakcyjny kolega — Stanisław Kędziawski, za grafikę — Iwona Sielska. Jury wyróżniło też rzeźbę Janusza Czarnego i obraz Krystyny Wiśniewskiej-Czarnej.

WOJEWÓDZKI URZĄD Poczty prosi o podawanie na przesyłkach aktualnych pocztowych numerów adresowych (kodów). W świątecznej nawale listów, kartek i paczek ułatwi to pracę pań w rozdzielni i bardzo przyspieszy doręczanie wszelkiego rodzaju przesyłek.

„**SĄSIEDZI** Łomża Ostrołęce” — pod takim hasłem Wojewódzki Dom Kultury prezentował w Ostrołęce, Ostrowi i Przasnyszu swój dorobek. Gospodarze utrwaliли na magnetofonach występy 17 zespołów, recitale i trzy ekspozycje plastyczne. W kwietniu — zapowiedziana rewizyta.

TYGODNIOWE POBYTY w Budapeszcie, Pradze, Bratysławie, Moskwie i Londynie, połączone z zabawą sylwestrową, oferuje „Orbis”. Koszt tej przyjemności — od 16 do 30 tysięcy złotych.

Wyjazd świąteczno-noworoczny (od 22 grudnia do 7 stycznia, za „je-

35 000 złotych) do Związku Radzieckiego organizuje Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

W kraju odpocząć można na tygodniowych turnusach świątecznych w hotelach orbisowskich w Mrągowie, Sopocie, Zakopanem itd. Za kilkanaście tysięcy złotych czekają na chętnych takie atrakcje jak pieczenie barana, kuligi czy możliwość korzystania z kąpieli, basenu itp. Przyjemność chyba nie na kieszeni łomżyńskich gdyż do tej pory nie zostało wykupione żadne skierowanie.

ZOSTAŁO KILKA DNI na zakup świątecznych upominków. Nie jest to zajęcie tak łatwe i przyjemne, jak wyjmowanie prezentów spod choinki, dlatego przygotowaliśmy małą sondę, którą dedykujemy niezdecydowanym. Może kogoś zainspiruje?

Marek, uczeń klasy IV: — Mamie podaruję lakier do paznokci i perfumy, tatusiowi — długopis, a bratu — gumę do żucia.

Magda, VI klasa: — Myślę, że mama bardzo się ucieszy. Prawie dwie godziny stałam w kolejce po rajstopy. Tacie dam płyn po gołębku, a siostrze — naszyjnik ze skórki.

Krystyna, lat 33: — Wydałam już niemal wszystkie pieniądze na codzienne bułki i masło oraz świąteczną szynkę. Mąż dostanie jeszcze premię, więc uszczęknę coś na prezenty. Synek ma wiele marzeń: narty, piłka, klaser... Mężowi sprawię symbol zimowej elegancji — rękawiczki. Ja nie mam specjalnych życzeń, lecz cichą nadzieję, że chociaż raz mąż nie będzie zbyt praktyczny.

Mieczysław, lat 38: — Dzieciom kupilem zabawki, żonie książkę. Zaakceptowałam też jakiś rachunek na tysiąc złotych i obiecałam nie szperać po zakamarkach.

Nauczycielka: — Synom kupiłam „Słownik poprawnej polszczyzny”, na który „polowałam” w antykwariacie od roku i komplety flamastrów. Mężowi dam jakieś dobre papierosy, choć prawdę mówiąc wolałabym broszurkę o szkodliwości palenia.

Emerytka: — Mam dosyć liczna rodzinę, dlatego moje prezenty będą raczej symboliczne. Sprawiedliwie rozdzielił przybory do pisania, może jakieś kosmetyki. Mam tu na myśli także pastę do zębów. Choćby „Nivea”.

Ekspedientka: — Niektórzy wolą upominki praktyczne, inni — pamiątki, ale wszyscy szukają rzeczy dość tanich, a jednocześnie atrakcyjnych. Tymczasem...

My natomiast jesteśmy pewni, że prezenty będą takie, jak co roku. No, może nieco droższe...

pylonia drażliwe

— Co sądzi Kuratorium o prowadzonych w niektórych szkołach składkach uczniowskich na gwiazdkowe prezenty dla wychowawców?

BOLESŁAW PODOBIŃSKI, wicekurator oświaty i wychowania: — Byłoby to sprzeczne z tym, o czym mówiliśmy, nie po raz pierwszy zresztą, w czasie grudniowych spotkań z inspektorami i dyrektorami placówek oświatowych. Z okazji imienin nauczycieli czy innych uroczystości uczniowie mogą im wręczać jedynie kwiaty. Jesteśmy zdecydowanie przeciw wszelkim składkom na prezenty. Młodzież może organizować sobie „choinki”, a komitety rodzicielskie nawet przeznaczać na nie pewne kwoty, lecz nie po to, by nauczyciele zapraszali też swoich gości. Podobnie ze studniówkami. Żadnych suto zastawionych stołów biesianych. W czasie egzaminów maturalnych komisje mogą pić służbową herbatę, ewentualnie „prywatną” kawę, czy jeść skromne kanapki.

zuprosili nas

Rektor i Senat Politechniki Białostockiej na uroczyste posiedzenie Senatu związane z obchodami 35-lecia wyższego szkolnictwa technicznego na Białostocczyźnie; Zarząd Wojewódzki Zrzeszenia Prawników Polskich na posiedzenie plenarne poświęcone współpracy ZPP ze społecznymi komisjami połączonymi z realizacją zaleceń pokontrolnych GIT-u; Muzeum Rolnictwa im. K. Kluka w Ciechanowcu na IV Ogólnopolski Konkurs gry na drewnianych instrumentach pasterskich; Klub „Canoë” przy PTK (w s z y t k i e h m i ł o s n i k o w z e g l a r s t w a) na zebranie sprawozdawczo-wyborcze 21 XII w Cechu Rzemiosł Różnych, przy ul. Giełczyńskiej.

wieści gminne

WIZNA. Członkowie Prezydium GRN-u przychylił się do prośby naczelnika i pozytywnie zaopiniował jego wniosek o zwolnienie. Następnego dnia, tj. 6 grudnia br., Prezydium wydało kolejną pozytywną opinię. Tym razem zaakceptowało wniosek wojewody łomżyńskiego, który na stanowisko naczelnika Wizny zaproponował Tadeusza Modzelewskiego, pracownika Wojewódzkiej Komisji Planowania.

■ Natomiast 17 grudnia radni ocenili prace SKR-u, GS-u w 1984 r. Komisja Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej GRN-u przeprowadziła kontrolę działającej w Wiznie placówki Gminnej Spółdzielni i zgłosiła wniosek reaktywowania tutaj oddziału. Miejskowa restauracja zdegradowana zostanie do rangi baru uniwersalnego. Radni zapoznali się z raportem Sanepidu o sytuacji sanitarnej gminy. Dowiedzieli się m.in. tego, co jest od dawna wiadome: że trzeba uporządkować gminne wysypiska śmieci i zbudować wodociąg.

■ Sprawa asfaltu na ulicy Czarnieckiego znowu znalazła się w punkcie wyjścia. Najpierw jeden z szefów Dyrekcji Okręgowej Dróg Publicznych w Białymstoku pozwolił ją pokryć asfaltem, potem drugi zakazał prowadzenia wszelkich robót ze względu na brak dokumentacji. Całe szczęście, że nie tylko zabronił, ale zobowiązał się dopilnować przygotowania dokumentacji do końca I kwartału 1985 r.

■ Ciągłe przedłużają się pertraktacje dotyczące wykupu na potrzeby szkoły spółdzielczego budynku w Wiznie, zlokalizowanego obok domu nauczyciela. Na razie WZSM chce budynek sprzedać, szkoła — kupić, ale finału transakcji nie widać.

TRZCIANNE. Informacje przedświąteczne: 22 i 23 XII sklepy spożywcze i przemysłowe będą pracowały jak w każdy dzień powszedni, natomiast 24 XII sklepy spożywcze czynne będą do godz. 14.00. Nielatwo jednak uda się nabyć artykuły typowo świąteczne. Białostocka Centrala Rybna zaoferowała gminie... 70 kilogramów śledzi, karpie, filety z ostroboka i błękitka. Łomżyńska hurtownia nie zdobyła czekolad, więc na kartki będą tylko cukierki czekoladowe. Jeszcze do ubiegłego tygodnia były w sprzedaży grapefruity; niestety, nie ma u nas tradycji jedzenia tych, niezwykle odżywczych, owoców.

■ Bez względu na porę roku nieślabnącym powodzeniem cieszą się artykuły gospodarstwa domowego i wyposażenia mieszkań. Apetyty nabywców rozbijają się o ceny. Dywany za ponad 50 000 dość długo nie mogły znaleźć amatorów. W przyszłym roku zostanie utrzymane porozumienie z Wytwórczo-Usługową Spółdzielnią Pracy w Mońkach, produkującą komplety kuchenne po 30 000 zł. W 1984 r. Spółdzielnia dostarczyła ich 70.

CIĄG DALSZY NA STR. 23



Dwie godziny dobrej zabawy połączonej z nauką tańca, śpiewu i konkursami, a także wręczaniem przez Mikołaja licznych upominków zafundował (bezpłatnie) wychowankom Domu Dziecka łomżyński „Orbis”. Liczymy na to, że w jego ślady pójda także inne instytucje i zakłady pracy i że chęć wywołania uśmiechu na twarzy dziecka nie będzie tylko jednorazowym odruchem serca.

zdanie tygodnia

— Tu nie ma co dyskutować, kolego dyrektorze, lecz trzeba poprawić zaopatrzenie!

Wojewoda łomżyński na konferencji prasowej

myśl z atestem

„Głupota jest darem: nie można się jej nauczyć”.

(Eugen Frunża)

- 1) Czy kocha Pan siebie?
— **Bez wzajemności.**
- 2) Co jest Pana główną zaletą?
— **Ze jestem człowiekiem pokornym.**
- 3) A wadą?
— **Proszę zapytać żony i dzielnicowego.**
- 4) Jaką cechę ceni Pan najbar-
dziej u podwładnych?
— **To, że są (moje córki).**
- 5) A u zwierzchników?
— **Nieobecność.**
- 6) Jakiej wady życzyłby Pan
swoim wrogom?
— **To zależy, w którym ob-
szarze płatniczym.**
- 7) Kogo Pan bardziej nie cierpi:
głupiego przeciwnika czy inteligent-
nego pochlebcy?
— **Głupiego pochlebcy.**
- 8) W czym był Pan zawsze naj-
lepszy?
— **W obronie. Należę do lu-
dzi delikatnych i nie lubię ata-
kować.**
- 9) Kiedy użycie siły może być
usprawiedliwione?
— **Jeżeli ma być usprawiedli-
wione, to zawsze.**
- 10) Co najbardziej dzieli ludzi:
wiek, pochodzenie, pieniądze, światopogląd, stanowisko?
— **Brak tolerancji i poczucia
humoru.**
- 11) Proszę uzupełnić zdanie: „Idea
jest dla człowieka...
— **...tym, czym koński zad
dla bata.**
- 12) Co jest dla Pana absolutnym
arcydziełem?
— **Kobieta.**
- 13) W jakim towarzystwie czuje
się Pan najlepiej?
— **Takim, które mnie akcep-
tuje.**
- 14) Czego najbardziej się Pan
wstydzi w swoim życiu?
— **Siebie.**
- 15) A czym chlubi?
— **Jeszcze nie odbyłem ze**

sobą w tej sprawie rozstrzyga-
jącej rozmowy.

16) Wylączając Polskę, w jakim
kraju chciałby Pan mieszkać na
stałe?

— **W Polsce.**

17) Najwybitniejsza postać z his-
torii Polski?

wykreślają jego numeru telefo-
nu ze swoich notesów itd.

20) Jaka powinna być maksymal-
na rozpiętość dochodów?

— **Od 0 do ∞.**

21) Czym, według Pana, jest przy-
stosowanie się do sytuacji?

— **Jedną z trudniejszych**

wynagradzany, ale się z tym
nie zgadzam.

24) W co Pan wierzy?

— **Noszę to głęboko w sobie.**

25) Czy polityk powinien reformo-
wać społeczeństwo zgodnie ze swoi-
mi przekonaniami, czy zgodnie z
pragnieniami społeczeństwa?

— **Powinien być przede wszy-
stkim artystą, ponieważ polity-
ka jest grą i sztuką.**

26) Jak godzi Pan postawę prywa-
tną z publiczną?

— **W miejscach publicznych
jestem prywatny, a w sytua-
cjach prywatnych — dosyć pu-
bliczny.**

27) Czy uważa Pan, że w ciągu
najbliższych pięciu lat konflikt nu-
klearny jest możliwy?

— **Jeżeli sytuację, w której
dwie rakiety jadą na rowerze,
nazwiemy wyścigiem zbrojeń, a
gdy dwie inne — wyścigiem po-
koju, to konflikt jest możliwy.**

28) Co przychodzi Panu na myśl,
gdy słyszy Pan słowa:

a) patriota?

— **zamalowuję telewizor
czarną farbą i wychodzę z do-
mu.**

b) komunista?

— **nie wiem, o kim pan
mówi.**

29) Przywary Polaków to:

— **Znane, na dobrą sprawę,
tylko Polakom.**

30) A zalety?

— **Rewers wad.**

31) Krytyka jest dla mnie:

— **Chlebem powszednim.**

32) O czym chciałby Pan przede
wszystkim przekonać Polaków?

— **Jeżeli przez następnych 40
lat nie dadzą się przekonać, to
trzeba będzie ich...**

33) O czym chciałby Pan przeko-
nać samego siebie?

— **Że nasza rozmowa była
żartem.**

**Znani są z pierwszych stron gazet, z radia, sce-
ny, filmów, telewizji, publicznych występów. Czy-
tamy i słuchamy ich i o nich. W gruncie rzeczy
nie wiemy jednak o nich nic. Sztywne, oficjalne
słowa przemówień, metafory poetyckie, gra na sce-
nie, mówią niewiele o ich cechach charakteru, u-
sposobieniach, gustach i zainteresowaniach. „Kon-
takty” postanowiły nieco rozszyfrować tych „nie-
znanych znanych” poddając ich swoistemu prze-
słuchaniu. Dziś odpowiada znakomity aktor —
PIOTR FRONCZEWSKI.**

bez wzajemności

— **O to należy zapytać prof.
Włodzimierza T. Kowalskiego.**

18) Osoba najbardziej godna po-
gardy w historii ludzkości?

— **Dowiemy się na Sądzie
Ostatecznym.**

19) Kiedy człowiek jest bogaty?

— **Kiedy ludzie nie odwraca-
ją się od niego na ulicy, nie**

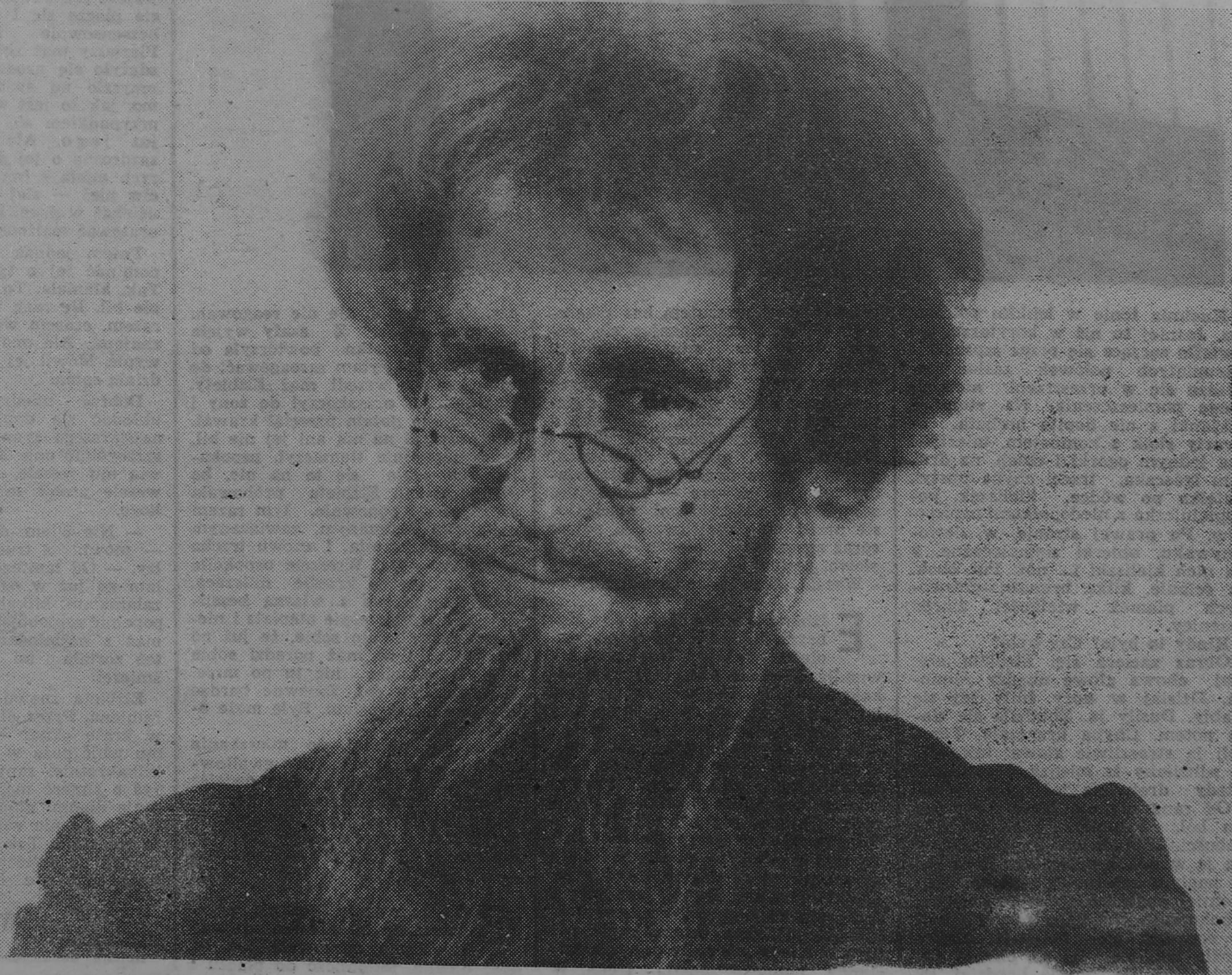
umiejętności znanych człowie-
kowi.

22) Czy zawsze Pan wierzy, że
 $2+2=4$?

— **Zależy z kim rozmawiam.**

23) Kto powinien być najlepiej
wynagradzany: wybitny naukowiec,
artysta, rzemieślnik czy polityk?

— **Ja wiem, kto jest najlepiej**



To pamięta dokładnie: przedpokój, półmrok, chodnik — brązowy w żółty deseń, od strony kuchni ściągnięty w kierunku drzwi wyjściowych, brunatno-czerwone plamy na podłodze, lamperii i chodniku.

W pokoju obok — kaskada słonecznego światła. Tuż przy ścianie, na podłodze, pierzyna, na niej koc w różnokolorową kratę, na kocu — brązowo-czerwone sztuczne futro. Na podłodze, bliżej szafy, trzy kawałki przeciętych pasków.

W ubikacji sztuczne światło żarówki. Za sedesem, z prawej strony, pięć butelek po wódce. Obok — pasek ortalionowy i krawat; przecięte, tak jak i dwa kawałki przewodu elektrycznego, wystające poza krawędź półki nad rezerwuarem.

myka obrączką rąk jak urojonym pancerzem, a potem cichy szloch wypełnia ją — do najdrobniejszego ułamka — bezradnym drżeniem.

To był dzień chandry, wielkiego rozżalenia na całe bezsensowne życie, na samą siebie, dzieci, na męża śpiącego wtedy, kiedy ona musi uwijać się od rana — może nawet nie z potrzeby, ale z codziennego przyzwyczajenia. Takie dni przychodziły nieoczekiwanie, bez konkretnej przyczyny, pochmurne mimo świecącego słońca, ścisające za serce dziwnymi przecuciami i podejrzeniami. W takie dni ten śpiący mężczyzna drażnił ją nawet równym, spokojnym oddechem, ręką bezwładnie odrzuconą do tyłu.

Zbudziła go jakimś cierpkim słowem.

W pewnym momencie zorientowała się, że Elżbieta jest już zupełnie pijana. Trudno było się z nią porozumieć; zaczęła wygadywać różne głupstwa: że coś sobie robi, targnie się na życie... Nie zwracała na to uwagi, bo mówiła tak zawsze, ilekroć sobie popiła. Do siebie zeszłam po szesnastej. Irena jeszcze została.

Elżbieta sprawiała wrażenie coraz bardziej zdenerwowanej. Mówiła coś o rodzinie, ale nie bardzo mogłam się domyślić, o co dokładnie jej chodzi. Coś się z nią działo, ale myślałam, że to wódka. W pewnym momencie wzięła pasek od sukienki, założyła go sobie na szyję, a koniec przywiązała do nogi maszyny do szycia. Widząc, że chce się zadusić, przeciełam go nożem. Zaczęłam tłumaczyć, że takich rze-

smucenia się — właściwie bez powodu — przyszła trochę później. A może nawet nie, nie pamięta. Wszystkim jednak na pewno winny byli i są te nagłe skoki ciśnienia. Stała się wtedy bardzo nerwowa, wybuchowa. Lekarz orzekł, że to nadciśnienie i nerwica serca. Trzeba było pożegnać się z pracą: trzecia grupa inwalidzka, renta.

W domu raczej się nie przelewało, a ostatnio nawet szczególnie trzeba było liczyć się z każdym groszem, ale dorobili się przecież i maszyny do szycia i pralki, i telewizora, i motocykla, i założyli dzieciom książeczki oszczędnościowe.

Z mężem właściwie wszystko układało się dobrze. Czasem tylko kłócili się na temat dzieci, ich wychowania. Ale to przecież takie typowo małżeńskie kłótnie. Alkohol pili, lecz nigdy go nie nadużywali. Ot, najwyżej tyle, co dla poprawienia samopoczucia. Więc tak ogólnie chyba było dobrze. Na pewno było dobrze!

Elżbieta płacze. Przez pierwsze dni pobytu tutaj płakała prawie cały czas. Czuła się samotną, otoczoną problemami, niezdolną do poradzenia sobie nawet z sobą. Bezradnie szamotała się szukając obrony przed czymś, co — wydawało się jej — tkwi w każdym kto próbuje zbliżyć się do niej. Zło było w nich, ale i w jej niepokojach, w strachu rodzącym się z czegoś nieuświadomionego lub uświadomianego niechętnie. Skarżyła się na brak pamięci. Szczególnie ten jeden moment, w którym stało się to, co przecież stać się nie mogło (nie za jej przyczyną!) umykał jej, tkwił gdzieś poza przypomnieniem.

Pozostaliśmy z mężem sami. Zaczął coś mówić, ale mnie denerwował już sam jego głos. Chwycałam jakiś pasek i pobiegłam do ubikacji? Nie pamiętam. W ogóle nic już nie pamiętam. Nie wiem, co się ze mną działo. Ogarnęła mnie jakaś pustka, cisza... Tak sobie to teraz wyobrażam, bo zdarzył się jeden moment, w którym ogarnęła mnie wieczność. W pewnym momencie zobaczyłam leżącego w przedpokoju męża. Widziałam, jak z jego piersi, z koszuli, płynnie krew. Podeszłam do niego. Nie wiem nawet, kiedy w moich rekach znalazł się ręcznik. Przyłożyłam mu go na tę ranę... A potem wybiegłam na korytarz wołając o pomoc.

Elżbieta myśli teraz przede wszystkim o synu, o tym najmłodszym, wspólnym, którego jeszcze nie straciła. W ogóle jej życie płacze się i płacze tak jakś bezsensownie i nieszczęśliwie. Pierwszy mąż zginął, zanim jeszcze zdążyło się urodzić dziecko. Potem przyszło na świat drugie; wiadomo, jak to jest w samotności: ktoś przypadkiem się trafi... Marek był już jego. Ale była też teściowa, zazdrosna o jej dwóch synów, których miała z innymi. Judziła przeciw niej — złej synowej. Musieli uciekać w drugi koniec Polski, żeby uratować małżeństwo.

Potem jednak i on zaczął przypominać jej o tym po pijanemu. Tak, kłamała. To nieprawda, że jej nie bił. Ile razy wypił... Często pili razem, czasem wpadali jacyś jego znajomi. Ale ona nie mogła dużo wypić. Mówił jej to lekarz, a i wiedziała sama.

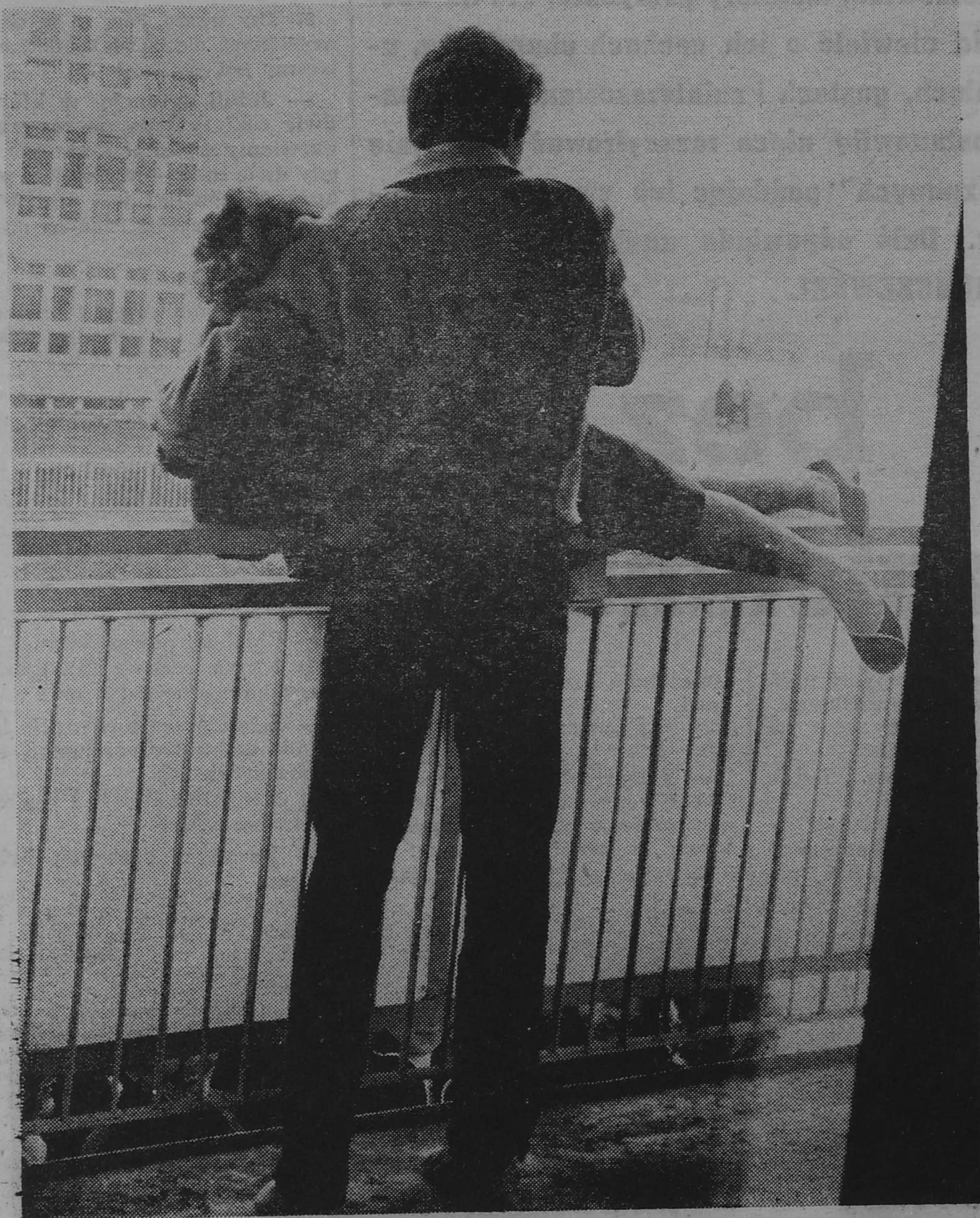
Dobrze między nimi zaczęło układać się dopiero po odejściu najstarszego syna. Nie chcieli tego, szczególnie ona. Myślała, że wyprawi mu wesele. A on odszedł i wesele zrobił sam. Nie prosił nikogo.

Nie wiem, dlaczego tak zrobił — mówi, z trudem przełamując łyż. — Od tamtego dnia nie widziałam go już w ogóle. Zupełnie się załamala; kilkakrotnie usiłowałam popełnić samobójstwo. Ratował mnie mąż z najmłodszym synem. Teraz też została mi już tylko myśl o śmierci.

Elżbieta znowu wtula głowę w ramiona. Przez chwilę wpatruje się w kratę okna: — Ja nie mogłam mu wbić noża w pierś — powtarza kilkakrotnie, zapytana po raz któryś o śmierć męża. A potem obejmując dłońmi głowę i krzyczy przez łyż: — Ja nie wiem, nie wiem, jak to się stało. Tak go kochałam, jak nikogo na świecie. Bez niego nie będę żyć, nie dam sobie rady...

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

Imiona bohaterów zostały zmienione.



Kuchnia tonie w lekkim półmroku. Jasniej tu niż w korytarzu, ale światło sączące się przez szparę nie dosięgnętych połówek zasłon rozprasza się w przestrzeni niewielkiego pomieszczenia. Na stole — szklanki z nie dopita herbata, otwarty słoik z kompotem, talerzyki (na jednym ogórki i chleb, na drugim łyżeczka, trzeci chyba pusty), butelka po wódce, kieliszek, popielniczka z niedopałkami papierosów. Po prawej stronie, w zlewomywaku, obierki ziemniaczane, a na nich kieliszki i... nóż. Tuż obok, na ścianie, kilka brunatno-czerwonych plamek wielkości ziaren pszenicy.

Kiedy to było? Czy było?

Obraz zaciera się. Elżbieta głębiej chowa głowę między ramionami. Dzisiaj w nocy śniły jej się diabły. Dusily ją. Zbudziła się zła na potem. Chyba krzyczała. Teraz boli ją straszliwie głowa; tak boli, że zdusiłaby ją między dłońmi, ale wtedy dretwieją jej palce.

Od rana nic nie jadła. To przez ten ból. Promieniuje w dół fala słabości. Elżbieta czuje, jak przerywa ją w pół, a potem wraca w górę nagłym zawrotem głowy. Najchętniej znów wzięłaby proszek na uspokojenie, chciałaby nawet o niego poprosić, ale bolesny skurcz gardła odbiera jej na chwilę oddech. Kuli się jeszcze bardziej, za-

wem, jakimś wyrzutem bez znaczenia. Wstawał przeciągając się, denerwujący w swej ościeżności. Znowu powiedziała coś, co jemu przypominało tyle wcześniejszych poranków, złości wyrzucanych z siebie między sypialnią, łazienką i kuchnią, między jednym a drugim łykiem kawy, między „wychodem” a trzaśnięciem drzwiami. Odpowiadał jej jak zawsze — z początku zdawkowo, półsłówkami opędzając się przed jej napastliwością, potem coraz agresywniej: placąc słowem za słowo, gestem za gest.

Wyszła, trzaskając drzwiami.

Elżbietę znam już kilka dobrych lat. Mieszka nade mną, piętro wyżej. Tamtego dnia wpadła do mnie z samego rana, około ósmej. Powiedziała, że nie najlepiej się czuje po świetlach i chętnie napiłaby się ze mną wódki. Wyciągnęłam ćwiartkę czystej; przysiadł się do nas mój mąż. Rozmawialiśmy na różne tematy, przede wszystkim jednak o świętach. Wyszła gdzieś po dwóch godzinach. Około czternastej poszłam do niej z suchym chlebem. Miała go zabrać na działkę, dla królików. Zastałam u niej Irenę, znajomą z tego samego bloku. Zaproponowałabym składkę. Elżbieta poszła kupić pół litra. Kiedy wypiliśmy, po następnej „połówce” poszła Irena. W

czy się nie robi, ale nie reagowała na moje słowa. Z szafy wyjęła krawat i wszystko powtórzyła od nowa. Nie zdążyłam zareagować; do mieszkania wszedł mąż Elżbiety. Natychmiast przyskoczył do żony i tym samym nożem przeciął krawat. Nie krzyczał na nią ani jej nie bił, tylko spokojnie tłumaczył, uspokajał. Nie zdało się to na nic, bo już po chwili Elżbieta próbowała się powiesić ponownie, tym razem na pasku skózanym, zawiązanym na oparciu krzesła. I znowu trzeba było użyć noża. Wreszcie uspokoiła się. Siedziała na krześle milcząca, jakby pogodzona z własną bezsilnością, a jednocześnie otepiała i nieczuła. Pomyślałam sobie, że już po wszystkim i że mąż poradzi sobie z nią sam, więc nie tu po mnie. Powiedziałam coś, zapewne bardzo banalnego, i wyszłam. Była może osiemnasta...

Godzinę później do mieszkania sasiadki z przeciwka ktoś gwałtownie zadzwonił. Nim zdążyła podejść i uchylić drzwi, usłyszała z korytarza jakieś rozpaczliwe wołanie. W progu stała Elżbieta — roztrzęsiona, zapłakana. „Ratujcie! — krzyknęła — Ratujcie!”

Bóle i zawroty głowy, przyspieszone bicie serca, dziwne osłabienie odczuwała już od dość dawna. Skłonność do płaczu i

Imię i nazwisko



Porwali nas... dzieci-
kiem odgrodzić śmierć we własnej
rodzinie.

Na imię miałam Agnieszka.
Miałam włosy jasne jak len i
niebieskie oczy.

Nosiłam sweter koloru szare-
go.

Pamiętam dwa domy: jeden du-
ży, z drzwiami po lewej stronie,
drugi niski, jaśniejszy, tonący w
krzewach; prowadziła do niego
droga skręcająca z głównej w le-
wo.

Nie pamiętam, spod którego z
tych domów odjechaliśmy, ale gdy
wyprowadzono mnie na dwór, ko-
nie już były zaprzężone. Na wo-
zie siedziała moja matka i, być mo-
że, babcia. Końmi powoził mężczyz-
na. Miał wasy, włosy jasne lub si-
we, ubrany był w koszulę, spodnie

AGNIESZKA SZUKA MATKI

Kordasowej. W kwietniu lub maju
1946 r. przyjechaliśmy na Ziemię
Odzyskaną.

Leokadia Nowackiewicz, pieleg-
niarka, lat 46, przypominała sobie
to wszystko, opornie składając
szczegóły po szczególe, latem 1982
roku. Jej pamięć ożywiła audycja
TV, w której stara kobieta zwraca-
ła się do ludzi, by pomogli odna-
leźć jej córkę Agnieszke: „Poszu-
kuję mojej córki. Zaginęła mi we
wrześniu 1939 roku. Miała wtedy
trzy lata. Uciekaliśmy z Siedlec.
Chcieliśmy się przedostać do Łom-

Doszło do niej, że zmarły dwie
jej siostry. Dawno zadawała sobie
pytanie, dlaczego wyrobiono jej
akt urodzenia dopiero wtedy, gdy
miała dwadzieścia kilka lat.

Teraz sprawdziła grupę krwi ca-
łej rodziny: ojciec — A1—, matka
— A1+, bracia i siostra — A1+,
ona — 0—.

Po paru tygodniach wrywane
pamięci fragmenty dzieciństwa za-
częły się układać w logiczną ca-
łość. Nie wiedziała jednak, jak na-
zywała się audycja TV; razem z
córką nie mogły sobie przypomnieć
daty jej emisji. Napisała do Radio-
komitetu. Nie otrzymała odpowie-
dzi. Spotkała się z redaktorem
prowadzącym „Świadków”. Nieste-

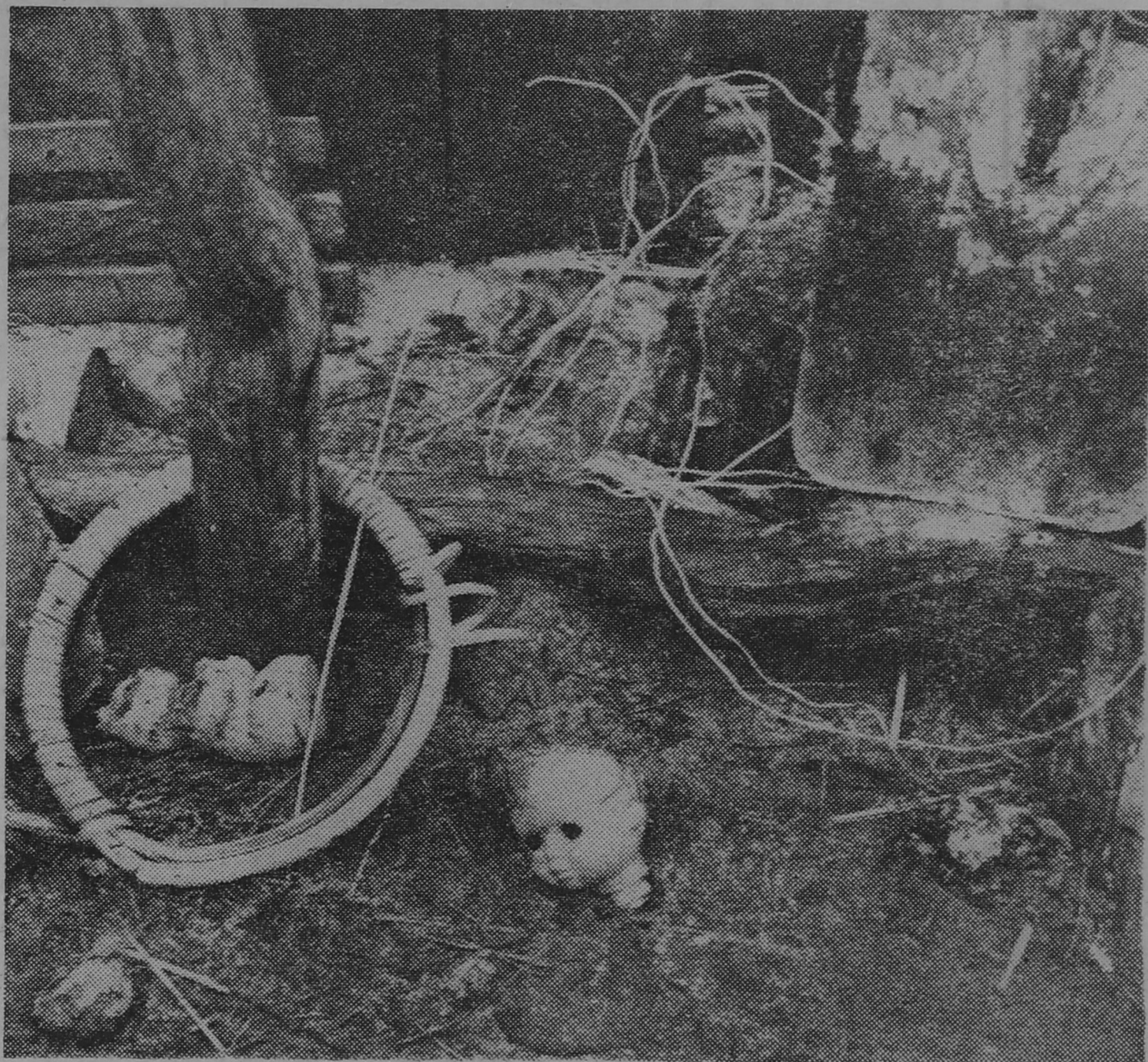
żadnych nazwisk tych ludzi. Nato-
miast Węgiel, o którym Pani pisze,
jak i jego żona, nie żyją.

Sprawdzono również w USC w
Busku dokumenty, na podstawie
których sporządzono akt urodzenia.
Jak wynika z posiadanych w ar-
chiwum USC dokumentów, to Pani
akt urodzenia został sporządzony
na podstawie protokołu przesłucha-
nia osoby zgłaszającej urodzenie
dziecka po terminie ustawowym, w
Prezydium Rady Narodowej USC
w Busku Zdroju, w dniu 22.05.
1959 r., w którym to protokole Ob.
Józef Nowackiewicz, zam. Łęgowi-
ce pow. Gdańsk, zgłosił urodzenie
dziecka w charakterze ojca, przy-
czym, jak wynika z protokołu, o-
świadczył, że dnia 11.11.1936 r. o
godz. 2-giej żona jego Nowackie-
wicz Karolina z d. Magiera, zam.
w Busku Zdroju urodziła w Busku
Zakład Zdrojowy dziecko płci żeń-
skiej, któremu nadano imię Leoka-
dia Krystyna. Okoliczności podane
w treści protokołu poświadczali
świadkowie: Nowackiewicz Stani-
sław, zam. Chmielnik 74, Fitowski
Wincenty, zam. Busko, ul. Łagiew-
nicka.

Akt urodzenia dziecka nie został
zgłoszony we właściwym terminie
z przyczyn następujących: 29 wrześ-
nia 1939 r. dziecko zostało ochrzcz-
one w kościele parafialnym w Bus-
ku. Spisanie aktu zostało w kance-
larii parafialnej opłacone, a dlace-
go aktu nie spisano, nie wiadomo
Podpisy: kierownik USC L. Angiel-
ski oraz podpis zgłaszającego. W
protokole przesłuchania świadka
Nowackiewicza Stanisława jest za-
pisane, że akt urodzenia Leokadi
Krystyny nie został zarejestrowany
w księdze urodzeń w roku 1936 ani
później w USC w Busku z przy-
czyną zaniedbania przez urząd pa-
rafialny. Dziecko zostało ochrzcz-
one w roku 1939 w Busku, zaś akt
urodzenia nie został spisany z winy
księdza lub organisty. Świadek da-
lej zeznał: o powyższym wiem na
podstawie osobistego przekonania
się, ponieważ jestem bratem No-
wackiewicza Józefa i żyjemy w
ciągłej przyjaźni, a żona moja bra-
ta udział przy dokonaniu chrztu
jako matka chrzestna. Podpisy:
kier. USC L. Angielski oraz zezna-
jący Nowackiewicz. Tej samej
treści jest protokół świadka Fitow-
skiego Wincentego, który podaje
że o tym jest mu wiadomo, gdyż
jest kolegą Nowackiewicza Józefa
i żył z nim w stosunkach przyja-
cielskich.”

Jednocześnie Zarząd Koła Mie-
jskiego ZBoWiD-u w Busku Zdro-
ju poinformował ją, „że tragedia
walki wojska polskiego z oddziałem
pancernym wojsk hitlerowskich na
terenach ziem buskiej odbyła się w
dniu 9 września 1939 r.”

za młodu WŁADYSŁAW TOCKI



porówna

popielinowe koloru kawy z mle-
kiem. Mógł to być mój ojciec lub
dziadek.

Pamiętam, że cała nasza jazda
była ucieczką. Nasz wóz znajdował
się na końcu kolumny. W pobliżu
Buska Zdroju skręciliśmy raptow-
nie w lewo. Pędziliśmy pod gradem
kul. Za wsią Zbludowice kolumna
na chwilę się zatrzymała.

Pamiętam las, kartoflisko, krzy-
ki, biegnących ludzi, jęk. Ktoś
powiedział, że droga jest nieprze-
jezdna. Mężczyzna, który powoził
końmi, pozwolił mi zejść z wozu.
Przykazał, żebym nigdzie nie od-
chodziła. Kobiety spały. Nagle ktoś
krzyknął: „Zejdź z drogi”. Stałam
tuż przed końmi następnej furman-
ki; odskoczyłam. W zamieszaniu
nie zauważyłam, kiedy odjechał
nasz wóz.

Do wsi, którą niedawno minęli-
śmy, przeprowadzili mnie dzieci.
Dały chleba z powidłami i mleka.
Jeden z chłopców miał na imię Ry-
siek. Bawiłam się z dziewczynką z
sąsiedniego domu, Krysia. Któregoś
dnia Krysia nie wyszła na podwórko.
Koło południa pobiegłam do jej
rodziców zapytać, kiedy przyjdzie.
„Krysi już nie ma” — powiedzieli.
Potem jej ojciec przykazał: „Idź do
mamusi”. Chodziło o matkę Krysia.
Poszłam. Krysia miała ogoloną gło-
wę, więc i mnie obcięli włosy.

Pamiętam, że po paru dniach
przyszła sąsiadka i mówi: „Jakaś
pani szuka swojego dziecka”. Wów-
czas moja matka poleciła starszej
córcie, Marysi, by schowała się ze
mną za stodołę. Kiedy indziej scho-
wano mnie pod stół. Później zda-
rzyło się coś, czego nie pamiętam
lub o czym nie wiem: nieoczekiwa-
nie przeprowadziliśmy się na ko-
niec wsi. Zamieszkaliśmy w domu

ży. Nie pamiętam nazwy tej miejs-
cowości, ale wiem, że było to w
Kieleckiem. Szukałam jej wszę-
dzie, nigdzie jej nie znalazłam.
Szukam jej już 43 lata. Jestem
pewna, że moja córka żyje. Nie
mam nikogo więcej na świecie.
Jestem już stara i chora, i moja
córka jest mi bardzo potrzebna.
Może ktoś wie coś o niej; napisz-
cie! To była moja jedyna córka. Na
imię miała Agnieszka”.

Początkowo Leokadia Nowackie-
wicz nie wiązała tych słów z so-
bą. Nie tknął jej nawet okrzyk
córki, która nagle, przywołując ją
z kuchni, powiedziała: „Patrz, ma-
mo, jaka ta pani podobna do cie-
bie”. A jednak od tej chwili pod-
świadomie zaczęła porządkować
swoją biografię.

Przypominała sobie, że najpierw
mówiono na nią Alusia.

Przebiło się z dna pamięci zda-
nie: „Agnieszka? Co to za imię?”

Ożyły pod powieką: szary swete-
rek, dwa domy, zaprzężony wóz, to-
boły, strzały, krzyki, mężczyzna w
popielinie, pajda chleba z powidłami,
ogolona Krysia, kobieta, która szu-
kała dziewczynki.

Kiedyś jej siostra, Maria, krzyk-
nęła w złości: „Znajda”.

Kiedyś „złubiła” się ojcu w le-
sie.

Kiedyś stryj, który odwiedził ich
po latach, zapytał: „A ty czyja?”

Kiedyś jej matka radziła sąsia-
dom, którym umarło dziecko, by
wzięli obce na wychowanie: „U
nas, w Kieleckiem, też ludziom
umarło dwoje dzieci, a trzecie cho-
rowało. Wzięli obce i odgrodzili
śmierć”.

Wiedziała: zawsze była gorsza.
Nie było dla niej nowych butów,
nowej sukienki. Była — robota.

ty, nie zetknął się z taką sprawą.
Dalsze fakty zaczęła więc ustalać
na własną rękę.

W grudniu 1980 r. biuro para-
fialne w Busku Zdroju potwierdzi-
ło śmierć jednej z córek Nowack-
iewiczów: „Z roku 1938 jest akt
Nowackiewicz Zofii urodzonej
5.11.1938 r. i prawdopodobnie zmar-
ła w tym samym dniu. Na prze-
strzeni paru lat wcześniej i później
nie ma Krystyny Nowackiewicz”.

W lutym 1983 r. Komenda MO
w Busku Zdroju po części uwiary-
godniła najodleglejszy rozdział do-
mniemań: „Przeprowadzono rozmó-
wę z osobami podanymi w piśmie
przez Panią, tj. Ob. Pawełec Marię
zamieszkałą Zbludowice 33, która
oświadczyła ustnie, że przypomina
sobie, jak ludzie mówili w 1939 ro-
ku, w czasie ucieczki przed nacie-
rającymi wojskami hitlerowskimi,
że jakaś nie znana jej kobieta po-
szukiwała dziecka, które jej zginę-
ło. Kobieta ta mieszkała chwilowo
u Pałki Tekli w Zbludowicach.
Przypomina sobie również, że u
Węgla mieszkali Nowackiewiczze,
imion nie pamięta. Nie wie rów-
nież, czy zabierali ze sobą obce
dziecko, gdyż przypomina sobie, że
swoich dzieci mieli chyba troje.
Pałka Tekla w rozmowie ze mną
na te okoliczności oświadczyła, iż
przypomina sobie, że taki fakt miał
miejsce, lecz nazwiska tej kobiety
nie pamięta. Nie wie nic o dalszych
losach tej kobiety i jej dziecka.
Kobieta ta mieszkała w domu Pał-
ki Tekli kilka dni wraz z innymi
ludźmi, którzy uciekali przed nie-
mieckimi wojskami. Nie pamięta

Wszystkie te sygnały coraz bar-
dziej utwierdzały Leokadię Nowack-
iewicz w przekonaniu, że ludzie,
którzy ją wychowali, nie są jej ro-
dzicami, lecz została przez nich
przywłaszczona z prymitywno-zabo-
bonnych motywów.

Minęły jednak miesiące, a spra-
wa wyjaśnienia jej losów nie po-
sunęła się ani na krok. Przyjecha-
ła więc do Łomży, miasta, którego
nazwa padła w audycji. W księ-
gach USC z 1936 r. odnalazła tylko
jedną — niestety, inną — Agniesz-
kę. W nikłym tropie, który zawiódł
ją do Bożejewa, natknęła się na
niepamięć; ludzie nie przypominali
sobie po tylu latach, czy zaginęła
komuś dziewczynka.

Zrozpaczona — poprosiła o po-
moc „Gazetę Współczesną”, wysta-
ła swój apel do Rozgłośni Polskie-
go Radia w Białymostku, który
wydrukowały również „Kontakty”.
Niestety, nie nadeszła ani jedna
odpowiedź.

W parę tygodni później, w lutym
1982 r., pojechałam do Tczewa. Le-
okadia Nowackiewicz przekazała
mi wówczas ten — skomponowany
z najdrobniejszych szczegółów, uzu-
pełniony powyższymi potwierdze-
niami — życiorys.

Czy trzyletnia dziewczynka mo-
gła tyle zapamiętać?

Czy tak klarownie uzupełniające
się fakty są prawdziwe?

Wątpliwości było więcej. Tyle
jednak razy życie wykluczyło poję-
cie „niemożliwe”, „nieprawdopo-
dobne”, że w jednym z listów do
niej napisałam: „Będę szukał do
chwili wyczerpania wszelkich moż-
liwości”.

(Cdn.)

5

KONTAKTY
23 XII 1984
30 XII 1984

penetracje



W samo południe zjawila się teściowa. Zajrzała do kuchni, poradziła Marcie, jak przypieścić pierogi z ziemniakami, i wreszcie przywołała do siebie wnuczęta.

— Co dacie tatusiowi pod choinkę? — zapytała, sadowiąc się w fotelu.

— Ja to — Pawelek wygładził, pognieciony nieco, świąteczny numer „Sportowca”.

— I to — Joasia pokazała babce, przewiązane wstążeczką, chustki do nosa.

— Tak, tak. Musicie słuchać tatuś, nie denerwować go i kochać, bo to wasz ojciec.

Kiedy Marta uporowała się z kartoflanym farszem, teściowa zapinała przed lustrem lisa. Patrzyła na całą trójkę i rzekła: — Jaki dzisiaj wieczór, nie trzeba przypominać Człowiek musi umieć przebaczyć. A wam tej zgody potrzeba, oj, potrzeba. Czy on już taki najgorszy, żeby zaraz po sądach się ciągać? Czy dzieciom, myślisz, nie wstyd, jak latasz po sąsiadach? Mieszkanie masz, w pustych ścianach nie siedzisz. Który chłop kupiłby dywan, pralkę, lodówkę tak od razu? Telewizor też nie kosztował dziesięć tysięcy — rozpięła palto i znowu wróciła do pokoju.

Marta przysiadła na brzegu krzesła, aby wysłuchać tej tyrady po raz nie wiadomo który; Pawelek skubał rękaw koszuli, Joasia patrzyła na babkę w milczeniu.

— Każda żona musi wiedzieć, że w małżeństwie raz słońce, raz deszcz. I ty się nie upieraj. Dzieci przeciwko ojcu nie stawiają, bo to grzech. Wszystko mu dzisiaj daruję.

— Nie wiem, czy zdązę przed północą — zauważyła nieśmiało Marta.

— No, wiesz! Jak to: nie zdążysz? Dopiero pierwsza. Zresztą jestem pewna, że przyjdzie na czas. Sam mówił mi o prezentach dla dzieci, a i tobie coś na gwiazdkę przyniesie.

Gdy zamknęły się drzwi za teściową, Marta przypomniała sobie przepowiednię: baba w dzień wigilijny w domu — nieszczęście gotowe. A może jednak nie?

O szóstej Pawelek zapalił pierwszą świeczkę. Na stole czekały cztery nakrycia i to pięte — dla niespodzewanego gościa. Dzieci nie mogły doczekać się prezentów. Gdy zegar wybił siódmą, rzuciły się pod chinkę. Stygła kapusta z grzybami, pierogi, kluski z makiem.

— Chyba tatuś poszedł do babci — odezwał się nagle Pawelek, porzucając nową ciężarówkę. — A potem znowu będzie mówił, że ty, mamusiu, jesteś niegospodarna i czas przecieka ci przez palce, prawda?

— Mamu, dlaczego babcia tak poważnie do nas mówiła? — zapytała Joasia.

— Poważnie? — zdziwiła się Marta. — Co to znaczy „poważnie”?

— No, tak głośno, i wcale się nie śmiała — wyjaśnia jej córka.

— Babcia zawsze tak mówi.

— Nieprawda. Do tatuśka inaczej — zaprotestował Pawelek. — „Zbysiu” albo „syneczku”. I zawsze jest zadowolona. A raz nawet widziałem, jak dała tacie pieniądze i kazała schować przed dziadkiem i przed tobą.

Dzwonek postawił ich na nogi. Siostra Marty zaczęła od wyrzutów: — Nie przyjdiesz, tylko pilnujesz nie wiadomo czego!

— My czekamy na tatuśka — odpowiedziała Joasia. — Jeszcze jest w pracy i nie wiemy, kiedy ta praca się skończy.

— O, ładne rzeczy — zawołała Agata. — Zabieraj dzieci i chodź do nas! — chwyciła za rękę Pawelka. Widząc, że Marta nie rusza się z miejsca, krzyknęła: — Co ty myślisz, że my nic nie wiemy?! Idziesz czy nie?

— My czekamy na tatuśka — powtórzyła Joasia.

Agata pokiwała głową i, uściskawszy całe towarzystwo, opuściła mieszkanie siostry bez słowa.

— Ciocia też krzyczy, jak babcia — podsumowała scenę dziewczynka. — Mamusiu, dlaczego wszyscy na ciebie krzyczą?

— Nie wiem — rzuciła obojętnie Marta, zabierając się do sprzątnięcia po wigilijnej kolacji.

— Mamu, mamu, co ty robisz?! — Pawelek wyrwał jej talerz z sałatką. — A tatuś co będzie jadł? I jeszcze nie dzielił się z nim opłatkiem, i nie dostał prezentów, i... — wyliczał jednym tchem chłopiec. Tego Marta już nie wytrzymała.

GABRIELA SZCZESNA WIGILIA



mała: — Idź do diabła z tym twoim tatuśkiem! — krzyknęła, wybuchając płaczem. Dzieci rzuciły się do niej.

— Mamu, nie płacz — szlochał Pawelek.

— Łzy tu nie nie pomogą — zauważyła filozoficznie Joasia, przytaczając ulubione powiedzonko babki. — Nie martw się, mamusiu, tatuśkowi na pewno nic się nie stało.

Marta wytarła oczy rękawem świątecznego obrusa. Pawelek szybko wyszukał płytę z koledami. „Wśród nocej ciszy” zaśpiewali we trójkę. Marta ukryła twarz w dłoniach.

— Mamu, nic się nie martw. Tatuś Kaśki też długo nie przychodził, ale złamał sobie tylko nogę — pocieszał ją Pawelek. „Bóg się rodzi, moc trucheje”. Czas płynął, kręciła się płyta.

W pewnej chwili Marta zauważyła, że dzieci zasnęły sen. Przeniosła je do łóżek. Zabrała się do sprzątnięcia ze stołu.

Wówczas zgrzytnął klucz w zamku. Talerze wypadły jej z rąk. Rzuciła się do drzwi.

— Ty k... do domu mnie nie wpuszczaj! — ryknął od progu. — Ja ci pokażę, czyje tu miejsce! — zatoczył się koło wieszaka. Marta szybko wybiegła do kuchni. Przez zamknięte drzwi dochodziły słowa ulubionej koledy i odgłosy szamotania jej męża z kurtką i butami.

Nagle wtoczył się do kuchni. Szarpnął Martę za rękę i siłą wepchnął do pokoju, sadzając za stołem. — To jest wigilia! — wrzasnął. — Na męża się nie czeka?! Kochanek poszedł, to dla męża mogą być ochłapy, tak?! Nie ze mną te numery! — chwycił ją za ramię. Marta nie płakała; nie prosiła też o ciszę, bo nie miałyby to żadnego sensu. Jej opanowanie kazało mu się zastanowić. Chwiejąc się na nogach, wpakował sobie do ust kawałek świątecznej szynki i znów wrzasnął: — Paweł! Joasia! Siadać do stołu! Wigilia jest raz w roku!

— Przestań, dzieci już śpią — szepnęła Marta.

— Co! To tak się do ojca nastawia? Tak się wychowuje? Kochana mamusia, tylko ojciec niedobry! Paweł, chodź tu natychmiast! — powlókł się pod drzwi pokoju dzieci. Marta złapała go za rękę. Posypało się szkło. Poczula ostry ból ra-

tułącą roztrzęsioną Joasię. Chwyciła Pawła i wepchnęła do pokoju. Zdezorientowany mąż usiadł na krześle.

— Paweł! — krzyknął. Szybko do mnie!

Chłopiec stanął przed ojcem. — W kieszeni jest... przynies... — mamrotał pod nosem. Po chwili syn postawił przed nim butelkę wódki. Marta oniemiała. Przywoławszy syna do pokoju krzyknęła: — Paweł, co ty zrobił?! —

— Mamusiu, on się jeszcze bardziej upije i zaraz pójdzie spać — szlochał chłopiec.

— Kolację mężowi podaj, ty dziwko! Oplątkiem się podziel jak porządna żona!

Rozległ się dzwonek. Sąsiadka zmierzyla Martę od stóp do głów: — Głośno u państwa, a ja mam chorego ojca, o czym pani przecież wie... — zaczęła ostrym tonem.

— Przepraszam — bąkała Marta. — To telewizor za głośno grał.

— Telewizor — kobieta pokiwała głową, zapatrzona w resztki sterczącej w drzwiach szyby — Nigdy spokoju u was nie ma. Jak długo jeszcze będziecie uszczęśliwiać nas tym swoim sąsiedztwem? Nawet wigilii nie potraficie uszanować — zakończyła swój wywód i zatrzęsła drzwiami.

— Kochanek się pomylił, co? — syknął, kiedy weszła do pokoju. — A tu mąż w domu i nici z zabawy, cha, cha! — ucieszył się z dowcipu.

— Mamusiu, pobiegnę do babci szybko, żeby zaraz przysłała, do brze? — szepnął Pawelek. Marta nie zdążyła zastanowić się nad słowami syna.

— Siada! I wy też! I spokój ma być! — znowu siłą posadził ją przy stole. — Dzisiaj jest wigilia, rozumiecie?! — zaręczał. — Wszystkie zwierzęta powiedzą prawdę o ludziach. A ludzie są podli, oj, podli — rozważał wlewając wódkę do szklanki. — I krzywdzą jedni drugich. Ale na pewno spotka ich kara — przeklnął z zadowoleniem kolejną porcję. — Ty, Paweł, pamiętaj, że jesteś moim synem i ludzi broń! — klepnął chłopca po łopacie. — I ojca szanuj, bo z każdej strony wszyscy jak te psy! Waszej mamusi też nie nie brakuje! Kochanek ważniejszy niż własny mąż, co mu przed ołtarzem przysięgała! — uderzył pięścią w stół. — Ale dzieci ci jeszcze zapłaca. Jak podrosną, zrozumieją, o co w tym burdelu chodzi! — przechylił szklankę. Znowu wpakował do ust kawałek szynki. — I wy co się tak gapicie?! — spojrzał na potomstwo. — Jeste! Ojciec wam niczego nie żałuje! Żadna dziwka nie zje tego, co wasze!

Pawelek zsunął się z kolan Marty i, przestępując z nogi na nogę, podsunął ojcu gwiazdkowy prezent. — Tatusiu, to dla ciebie — położył przed nim „Sportowca”. — Dla mnie? Cha, cha! — zaśmiał się znowu. — Chcecie, żebym poszedł spać, co? Nic z tego! Mnie się nie oszukuje, rozumiesz?! — szarpnął nagle Martę za rękę i wykręcił do bólu. — Ja tego nie zjem, ale ty też nie! — szarpnął za róg obrusa.

Pierwszy rozbil się talerz dla wigilijnego gościa; ten najładniejszy, od serwisu. Brzęk tłuczonego szkła i krzyk dzieci wyrwały Martę z ośpienia. Chwyciła je za ręce i, potykając się przez ściągnięty chodnik w przedpokoju, wybiegła na schody. Na dole skrzypnęły drzwi. Na szczęście — ktoś wychodził z klatki. Wreszcie dopadli drzwi do piwnicy. Korytarzem przebiegli kilkanaście metrów.

— To nie nasza — wyduślił z siebie Pawelek.

— Ale daleko do naszej — odpowiedziała Marta. Dopiero teraz zobaczyła, że dzieci mają na sobie piżamy, a ona sukienkę z krótkim rękawem. Usiedli na jakiejs porzuconej skrzynce.

— Ja już nigdy nie będę słuchać babci — odezwał się Pawelek.

— Dlaczego?

— Bo ona każe nam kochać tatuśka.

— A tatuś nas nie kocha — wyjaśniła Joasia.

Marta wyobrażała sobie, co działo się wówczas w mieszkaniu. Czy już zbiegli się sąsiedzi? A może zjawiała się milicja? Czyjeś kroki wyrwały ją z zamyślenia. Dzieci z przerażeniem przytuliły się do matki. Gdzieś stuknęły drzwi. Ludzie wychodzili na Pasterkę.



Filipkowski miał uciechę z tej psychozy: „Ludziska w Kosmos fru- wają, a tu znachor grasuje”. Ma- lował na czole kółka, aż... jesienią, akurat na zmianie, zaczął go rwać zęb. „Cholera — myślał — poszed- bym do Wichlińskiego, bo już nie zdzierzę, ale może mnie przegnać”. Zebrał się jednak na odwagę i po minucie miał z zębami spokój. Skrobał się w przedziałek, skrobał, i orzekł: „Może to prawda, co ga- dają, że on święty czy uzdrowiciel jaki?”

A Wichliński wciąż miał ten sam zgrzyt: najlepiej byłoby się prze- szkolić, zdobyć uprawnienia, urzędo- wą burnagę, prześmiewcom zblić argumenty, ale gdzie i jakie szko- ly kończyć? Zostaje tylko podpa- trywanie innych i wykluczanie swoich błędów.

— Gdzie tam, panie — macha ręką z rezygnacją — liczyć na ko- goś! Każdy chomikuje wiadomości dla siebie, bo z tego może być nie- zła forsa, no i rozgłos. Ja nie jes- tem taki. Z każdym się podzielę. Tak było już od pięćdziesiątego trzeciego roku. Kiedy brałem się za różdżkarstwo i razem z geologami szukałem podziemnej wody do budowy „Agrometu”. Oczywiście, zasady swoje mam. Zdrowego nie będę tykać, bo mu zaszkodzi. Je- den z białostockich różdżkarzy, co zgrywał chojraka, sam się przeko- nał. Kiedyś zaczęli mnie na ze- braniu: „Załóżmy — mówi i po sa- li strzela wzrokiem — że jestem chory na oczy. Pokaż pan, jak to się oddziałuje”. „Zwyczajnie. Mó- wie, że po oku chodzi na prze- mian zimno i ciepło. Chce się pan przekonać?” „Proszę, proszę” — mówi, a ludziska już się trykają łokciami, jaki będzie ubaw. Zaczę- łem mu trzymać rękę nad okiem, a on, całkiem serio, że czuje ciepło i że coś się dzieje. Po paru dniach przyszedł, a oko czerwone, spuch- nięte. „Zobacz, taki synu, co zro- biłeś! Nie zbliżaj się już do mnie”. Na to ja uprzejmie, że teraz wła- śnie mogą być pomocni, gdy coś rze- czywiście dolega. Zrobiłem drugi za- bieg i jak ręką odjął.

We wrześniu 1983 r. odbyło się w Warszawie głośne sympozjum. Wichliński słyszał o poprzednim, gdy za sprawą stołecznego Stowa- rzyszenia Radiestetów szukano sprzymierzeńców nędzycy. Nie- którym tak się przewróciło, że przestali gadać o czarnej magii. Na szerokie wody wypłynęły, obok u- znanych nazwisk Clive'a Harrisa i Stanisława Nardellego, wyniki eks- perymentów Janiny Zawadzkiej z Gdańska, Pawła Poloneckiego, Je- rzego Rejmera i Mieczysława Wir- kusa, przyjmujących w warszaw- skich poradniach wspólnie z leka- rzami. Mówiło się o osiągnięciach zachodnich i radzieckich. Wichliń- skiego nikt nie prosił, ale pojechał.

— I dobrze zrobiłem. Dla kogo ta nasiadówka, jak nie dla mnie? Miałem pacjentkę z Warszawy, któ- rej przez dwa lata nikt nie mógł pomóc. To czysty przypadek, że trafiła do mnie. Zrobiłem kilka zabiegów i nic. Byłbym zrezygno- wał, gdybym nie usłyszał na sym- pozjum, że trzeba próbować do skutku, nawet do dwunastu razy. Było coraz lepiej, a dziś kobieta mi pisze, że nie wie, co to choroba.

Nie, nie powie, jaką ma bioener- gię ani — jak ją mierzy. Wystarczy, że bardzo duża, bo mu w trakcie zabiegów ludzie mdleją, jak u Nar- dellego i Poloneckiego. Dla skutecz- ności ważne jest, żeby przekazują- cy miał energii znacznie więcej niż pacjent.

To jest tak samo, jak z różdżką czy wahadełkiem. Jeden może szu- kać pokładów węgla i wody na głębokości 700 metrów, a możli- wości drugiego kończą się znacznie płycej. Musi mieć wyjątkowe pre- dyspozycje, by sięgać dwóch kilo- metrów w głąb ziemi.

Znajomy lekarz rozsiadł się na różnych Wichlińskich, że mu chleb zabierają. „Służba zdrowia — grzmiał — jest wzbudzona! Pod- waża się medycynę, szarlataneria święci triumfy, wraca zacofanie. Jakich czasów doczekaliśmy?” Jak Minister Zdrowia zjechał na spotkanie, to mu raz po raz wsta- wiali teksty, że namnożyło się ba- bek i dziadków, co z kapelusza ciągną zające.

— Pewnie — przyznaje Wichliń- ski — że nie brakuje kanciarzy, ale gdzie ich nie ma? Sam wdepnąłem w aferę z facetami, co niby zbiera- li forsy na wyprawę do Trójkąta Bermudzkiego. Dowiedziałem się, że przyjechali do Białegostoku. Po- szedłem, bo chciałem się dowie- dzieć fachowych rzeczy. Organiza- tor z mety ściągnął mnie do zabie- gów, a ja, jak dobry dureń, polaz- łem. Wykorzystali wtedy mnie i jeszcze jednego. Ludzi masa, ani się wcisnąć do sali Akademii Me- dycznej. Ci od Trójkąta najpierw laps za forsy, a potem wykombino- wali, żeby hurtem... załatwić, po dwadzieścia osób: jeden bioenergo- terapeuta będzie dotykać po kolei głów, a dwóch z dystansu wspo- może go rękami. Panie — trzęsie się Wichliński — żeby mi ktoś na- kładł w porę, że tak się dam wró- cić...

Następnego dnia tłum zwielokrot- nił. Weisnęli ich do jakiejś świe- tlicy. Szaleństwo, rwetes, egzalta- cja. Nie wszystkim udało się do- pchać. I znowu we trzech próbo- wali swych sił, a tamci zgarniali forsy. Pewien sprawiedliwy po- krzykiwał i straszył, że samowo- ła, sabat nawiedzonych, że on na- uczy. Nie musiał. Z prasy i tele- wizji wyszło, że zrobili w konia ty- siące ludzi, a Bermudy, którymi się tak afiszowali, nieprędko zobaczą.

Najgorzej z zaawansowanymi no- wotworami. Przestrzegali go, że lepiej takich ludzi nie dotykać, bo jeżeli człowiek promieniuje już kolorem raka, to znaczy, że cho- roba dominuje nawet nad indywi- dualną aurą organizmu i bioenergo- terapeuta sam się naraża co naj- mniej na złe samopoczucie.

Pani Ania nabawiła się guza w głowie; kobieta pod czterdziestkę, potężnie zbudowana. Po rękach, no- gach widać, że ucisk tego guza za- kłócił harmonię jej rozwoju. Ciąg- ła bóle, fatalne samopoczucie. Chcieli operować, ale na takie ry- ziko nie poszła. Lekarka sama za- sugerowała zabieg bioenergotera- peutyczny.

— Niesamowite przeżycie — wstrząsa się Wichliński. — Coś mi podpowiadało, że bym zamknął, o- czy. Przymknąłem i czuję, że mi energia schodzi, jakbym tę kobie- tę przenikał. „Panie, co pan robi?” — krzyknęła. — Chyba mi pan coś z głowy wyrwał!” W pewnym mo- mencie już się nie kontrolowałem. Uniosłem ręce powoli, spokojnie i... energicznie strzepnąłem. Zaczęłem drugi raz. Ta sama mordęga, siód- me poty. Czulem, że muszę jesz- cze pogłębić tę wieź. Tego się nie da przekazać. Zresztą i tak nikt nie uwierzy. Od tamtego dnia zro- biłem sześć, może siedem, łatwiej- szych już, zabiegów i straciłem kontakt z panią Anią. Poczuli się lepiej, więc nie byłem potrzebny.

Przerywa, patrzy na mnie uważ- nie i ciągnie dalej: — Potrafię wstrzymać rozwój choroby, uspić ją, a zdarza się, że ognisko zapal- ne całkowicie zniknie. Czasem rze- czywiście wydaje się, że zachodzą jakieś nadprzyrodzone zjawiska. Tak było, gdy leczyłem tego psy- chicznego chłopca. Postugiwałem się dziewięciokrążkowym wahad- łem. Taki był nerwowy, pobudliwy, że po pierwszym zabiegu chciał sobie odebrać życie. Za drugim razem, kie- dy zacząłem pracować wahadłem, sam byłem zaskoczony: na pierw- szych trzech wypukłych krążkach zebrała się jakaś para. Mówię do znajomej, co stała obok: „Halina, zobacz!” „Rzeczywiście! Widzę, jak się coś między krążkami kłębi, tyl- ko nie zauważyłam, kiedy z głowy chłopca wyszło”.

Kiedyś robiłem zabieg jednej ko- biecie — przypomina sobie pan Ta- deusz — i znowu coś dziwnego się zdarzyło. Stałem koło okna i jak zwykle energicznie strzepną- łem ręce, a wtedy ona krzyknęła: „Panie Wichliński, widział pan? Ja- kaś biała para poleciała w okno, kiedy pan strzepywał ręce”.

Sygnęły się oferty, propozycje, prośby. W białostockim Domu Dziecka pomógł dziewczynce z wo- dogłowiem, w Sokółce uratował nie- mowlę, spawaczowi z „Agrometu” zlikwidował zapalenie dziaśla, u paru osób uspokoił padaczkę. Przy okazji sam sobie biedy napytał, bo nie umie osłonić swojego organiz- mu. Niby nawiedzony, ale nie do końca.

ANDRZEJ POLAKOWSKI

NAWIEDZONYCH



— Jechaliśmy kiedyś z chorą na padaczkę: ja koło kierowcy, a dziewczyna z tyłu. Jak siadałem, czulem się dobrze, ale im dalej, tym gorzej. Co za cholera? Zerkną- łem do tyłu. Rany boskie! Dziew- czyna ledwie żywa, oczy na wierz- chu, pot kapie, drgawki nią miotają no siedzeniu. „Rece ściśnij w pięś- ci — krzyknąłem — zaprzyj się!” Sam też się skoncentrowałem. Po kilku sekundach oboje wróciliśmy

do formy. A mam znajomego, któ- ry mówi, że wystarczy, jak sobie trochę posiedzi w mojej obecności. Od razu lepiej się czuje. Ja może mniej, ale to przecież o niego chodzi.

Jednak jeszcze muszę się uczyć i pracować nad sobą — deklaruje Tadeusz Wichliński. — Przecież to, że już siedemnaście kobiet i czte- rech mężczyzn zemdlalo na moich zabiegach, jest rezultatem niedopra- cowania metody. Najważniejsze, że ostateczny wynik daje z reguły satysfakcję.

— Święta prawda — mówi Anto- ni Rogalski, który ma szczęście mieszkać w Czarnej Białostockiej. — Przez pięć miesięcy rósł mi guz na prawej łopacie. Ani spać, ani pracować. Polazłem do pani doktor. Dostałem skierowanie do białostoc- kiej poradni chirurgicznej. Ciąg, nie ciąg? Byłem skołowany, a oni nie mądrzejsi. Opowiedziałem wszystko Wichlińskiemu, a on zwy- czajnie, że może guz usunąć. Cza- rodziej czy co? A niech próbuje, może nie zaszkodzi. Po trzech dniach zabiegów narodził się czarna i odpadła. Nasza lekarka była za- skoczona, bo zobaczyła takie plecy, jakby je kto glancpapierem prze- jechał. Gładziusińkie.

Michał Kuprewicz ustanie bólów dolnej części kręgosłupa też uwa- ża za dorobek Wichlińskiego. An- toniemu Sadowskiemu już po dwóch zabiegach przeszedł silny ból nadwężonego barku, zaś He- lena Rogacka napisała: „Chorowa- łem prawie dwa lata. Przez ten czas leczyłam się medycznie bez żadnej poprawy. Miałam podwyż- szoną temperaturę, okropne bóle głowy promieniujące gdzieś od krę- gosłupa. Zupełnie bez powodu by- wałam senna albo ospała i jeszcze traciłam równowagę w chodzeniu. Cały czas pracowałam, na ile mo- głam, bo lekarze uważali mnie za zdrową. Zresztą wyniki badań by- ły rzeczywiście nie najgorsze. Jak- by nie moje. Po kilku zabiegach pana Wichlińskiego wreszcie chce mi się żyć”.

Przyszła pora na najtrudniejszą próbę. Przyjechali po niego do do- mu, żeby ratował samobójcę. Ło- motali do różnych drzwi: „Gdzie znachor? Gdzie, do cholery, ten znachor?” Samochód czekał, nie było czasu na dywagacje. Zawieźli go do białostockiego szpitala.

Nawet nie widziałem chorego — wspomina. — Wiedziałem tylko, że leży na reanimacji, zatruty bo- daj środkami nasennymi, i lekarze dają mu dwa procent szans prze- żyć. Właściwie to nie jego orga- nizm funkcjonował, a aparatura.

Zaciągnęli go w jakiś kąt kory- tarza w pobliżu sali, w której leżał pacjent. Powyciągał z teczek swo- je przyrządy, rozłożył na szpital- nym wózku. Poprosił o zdjęcie de- likwenta, które do dziś nosi jak talizman: — Postawny, niepraw- daż?

Obok tłoczyła się rodzina: brat, siostra, zrozpaczona matka. Trzy- mali się go kurczowo jak ostatniej deski ratunku. A Wichliński spo- kojnie, metodycznie...

— Najpierw wziąłem uniwersal- ne wahadelko. Zadałem pytanie, czym mam się posłużyć przy usu- waniu trucizny. No i nad zdjęciem, bo do sali przecież nikt nie wpuścił, zacząłem zdejmować z chorego tę truciznę. Bardzo źle się czulem; aż mnie zachwiała parę razy, ale przeszło. Potem zacząłem przeka- zywać swoją bioenergię. Najpierw nie przyjmował, lecz po chwili za- częł chłonać jak gąbka. Bardzo du- żo jej potrzebował. Trwało wszyst- ko z nieć minut.

„Niech ktoś z państwa zapuka do dyżurki i spyta lekarza o stan pa- cjenta” — rzucił w końcu. Spoglą- dali niepewnie jedno na drugie, bo do zmartwychwstań nie przwvokli: „Idź ty”. „Nie, lepiej ty”. Nie byli pewni, czy warto.

A ja — twierdzi Wichliński — wiedziałem przecież, że jak zaczął przyjmować bioenergię, to już mu nic złego nie grozi. W końcu po- szedł brat. Za chwilę wraca i śmieje się: „Właśnie odzyskał przy- tomność i usiadł na łóżku!” Matka chorego zaczęła mnie całować, wszyscy się poplakai i odwieźli mnie do Czarnej. Po drodze do- wiedziałem się, że uratowałem ja- kąś figurę. Po tygodniu gość chodził i kondycję miał niezłą, choć psychicznie wysiadł. Cóż, ja duszę leczyć jeszcze nie potrafię.

interpretacje





Kierownik kina „Millenium” usiłował zagrozić drogę dwóm, wyraźnie podciętym, osiłkom. Skończyło się na złamaniu kierowniczej ręki. „Ręce precz od egalitaryzmu!”

★

Dwóch mieszkańców osiedla Jan-tar w Łomży zgłosiło Zakładowi Energetycznemu konieczność wymiany jednej z ulicznych świetlówek. Niestety, każdy z nich postulował na własną rękę, w efekcie czego pierwsza ekipa Zakładu wymieniła złą świetlówkę na dobrą, druga — w godzinę później — dopiero co wymienioną. Usuwanie awarii, jak się dowiedzieliśmy, odbywa się zgodnie z planem ustalonym na podstawie zgłoszeń. Albo więc plan szwankuje albo — szwanc planuje.

★

Fotograf „Fotooptyki” w Łomży zagubił klientowi siedem kolorowych filmów, wykonanych w Wietnamie. Wyjaśniwszy, że może wzięła je córka, sprawę uznał za zamkniętą. Innemu zaś bachory odwracały czytając gazetę „do góry nogami”. I też nie robił z tego problemu. Bo wiadomo: dzieci to przecież największa zakala ludzkości!

★

Przedsiębiorstwo Państwowe „Polmozbyt” udziela nabywcy samochodu osobowego gwarancji na ściśle określony czas i przebieg liczony w kilometrach. Najczęściej — na 6 miesięcy i 10 000 kilometrów. Z zastrzeżeniem: „Udzielona gwarancja wygasa w przypadkach: a) jeżeli przed upływem terminu gwarancji nabywca przejeździe pojazdem 10 000 km; b) jeżeli upłynie 6 miesięcy od daty zakupu, mimo niez osiągnięcia przez pojazd przebiegu 10 000 km”. Na legalnym przydzielonym paliwie przejechać można teraz, niezależnie od marki, przeciętnie około 500 kilometrów miesięcznie. W ciągu pół roku wyjeździ się więc maksymalnie 3000 kilometrów. Zaden z nabywców nigdy nie wykorzysta zatem najistońniejszego elementu gwarancji. W tej sytuacji „Książkę gwarancyjną” z powodzeniem użyć można jako poradnik seksualny: „Nie chcesz mieć żadnych kłopotów? Nie używaj!”

★

Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży sprzedaje rolnikom dziesiątki ton odpadów produkcyjnych z ziemniaków (niezły dodatek paszowy dla świń i bydła), które nabywca musi odebrać z Przedsiębiorstwa własnym transportem. Ich załadunek odbywa się — jak głosi specjalna tabliczka — „we własnym zakresie”. Domyślnie ustalili już, że wynosi on „pół balika od autka”, i z papierosem w zębach czekają na zakładową „fakturę”. A kto nie ma w głowie? Ma w rękach!

★

Dwukrotnie już „Kontakty” pisały o ciężkim losie jednego z mieszkańców Radziłowa. Bez odzewu. Do czasu. Strusia pozycja jest o tyle względna, że bardzo łatwo zainkasować koperczaka.

Co wiemy o drugim człowieku? W przypadku Zbyszka, którego ciało odnaleziono w Narwi, można rzec: prawie nic. Relacje osób, które знаły go najbliżej, czynią jego śmierć jeszcze bardziej niewytłumaczalną.

JUŻ NIE WRÓCIŁ

W rozlewisku Narwi, na wysokości wsi Drożęcina-Lubiejewo, 19 kwietnia 1983 r. przypadkowy wędkarz odkrył topielca. Przybyli na miejsce prokurator z Łomży — na podstawie zdjęcia w (pozostawionym w domu) dowodzie osobistym — stwierdził, że denat to zaginiony w końcu marca 1983 r. 20-letni uczeń IV klasy Technikum Weterynaryjnego w Łomży, zamieszkały na stałe w Nowakowie koło Elbląga.

— Ubranie na nim było całe — przypominają sobie dwaj rolnicy, którzy wówczas wylawiali ciało Zbigniewa Dernogi — Ran nie widzieliśmy. Prokurator mówił, że powinna być jeszcze jego torba, ale

— Po lekcjach zaszedł do mnie na stancję — stwierdził jeden z dwu najbliższych kolegów klasowych Zbyszka. Krzysztof G. — Odprowadził mnie na ul. Zjazd, na „okazję” i wrócił do internatu na obiad.

— Spotkaliśmy się, jak zwykle, o godzinie 18.00 — opowiada Krystyna N., sympatia Zbigniewa. — Wieczór spędziliśmy u mnie na stacji. Graliśmy w karty. Namawiał mnie, żebym została na sobotę. Na przekór postanowiłam jechać do domu. W poniedziałek miał się przygotowywać do klasówki. Umówiliśmy się ponownie na wtorek, 29 marca Zbyszek wyszedł ode mnie około godziny 23.00.

Właściciele domu, w którym mieszkał Zbigniew, nie są w stanie precyzyjnie określić, kiedy ostatni

Powiedział to w naturalny sposób. Nie wyglądał na załamane. Około godziny 13.00 widziałem go jeszcze raz jedzącego obiad w stołówce. Nie pamiętam, kto z nim siedział przy jednym stoliku. To dziwne — mówi, gdy informuję mego rozmówcę, że we krwi Zbigniewa stwierdzono 0,31 promille alkoholu. — Wiem, że Zbyszek nie pił. Opowiadał mi jego kolega, Krzysztof G., że kiedyś zaproponował po jednym gdy przechodzili obok budki z piwem, ale Zbyszek odmówił z powodu postu. Był bardzo religijny.

W poniedziałek, 28 marca, około godziny 7.00 rano, wrócił do internatu Janusz B.: — Łóżko Zbyszka nie było zasłane. Na pościeli leżały rozsypane książki. W szafie wisiała jego kurtka, w której już nie chodził. Zostały też dokumenty i pieniądze. Sądziłem, że wyjechał wcześniej na ferie.

To samo pomyślała Krystyna N., gdy Zbyszek nie pojawił się na umówionym spotkaniu. Zaniepokoili



ŚLEDZTWO NA RATY

nie znaleźliśmy. Narew wtedy przybrała chyba ze dwa metry.

Wracając z Drożęcina — zatrzymuję się w miejscu pod lasem, gdzie rzeka styka się z asfaltową drogą. W pobliżu nie ma zagród. Po kilku metrach zaczyna się strome zbocze. Czy tutaj?

W piątek, 25 marca 1983 r., był na wszystkich lekcjach. Potwierdza to zapis w szkolnym dzienniku.

— W piątek przed świętami wielkanocnymi — zeznał Janusz B. współlokator Zbyszka ze stacji na Milej 13 — jechałem swoim fiatem 126p do domu. Zbyszek poprosił bym go podwiózł do internatu na obiad. Mówił, że nie ma planów na sobotę i niedzielę; będzie się nudził

raz widzieli swego lokatora. Prawdopodobnie 26 marca, około godziny 15.00, wyszedł do miasta: z torbą. „Od tamtej pory więcej nie wrócił”.

Za to dokładnie pamięta, gdzie i kiedy widział Zbyszka ucznia z tej samej klasy. Krzysztof Ch.: — Gdy tylko Zbyszek zaginął, głośno o tym mówiłem — wspomina — ale wówczas milicji to nie interesowało. Była sobota, 26 marca. Przebywałem w pokoju nr 8 w internacie. Około godziny 12.30 wszedł Zbyszek i zapytał, czy nie mam ciekawych gazet do czytania. Nie miałem. „Dlaczego nie przygotowujesz się do klasówki?” — zagadnąłem. „Mnie się już nic nie chce” — odrzekł.

się, gdy chłopak nie wrócił z ferii wiosennych (które w 1983 r. trwały od 31 marca do 5 kwietnia).

— Ostatni raz był w domu 19 marca — wyjaśnia ojciec Zbigniewa, Wacław Dernoga. — Przyjeżdżał regularnie co dwa tygodnie. Przed ostatnim wyjazdem mówił, że święta wielkanocne spędzi u Krystyny N. Zgodziliśmy się.

— Nie zamierzałam nawet zapraszać Zbyszka na święta — dziwi się Krystyna N. — Miał jechać do domu.

SAMOBÓJSTWO?

Powiadomiony o znalezieniu ciała Zbyszka — Wacław Dernoga przyjechał do Łomży 20 kwietnia 1983 r. — Dwukrotnie zażądałem

sekcji — opowiada. — Nie poproszono mnie również o identyfikację zwłok. Brat Zbyszka i szwagier ukradkiem weszli do prosektorium.

„Na zwłokach nie stwierdzono żadnych obrażeń ciała” — stwierdza „Notatka służbowa” z przeprowadzonych 20 kwietnia 1983 r. przez lekarza (w obecności prokuratora) oględzin zwłok.

— Zwróciłem się z prośbą o sekcję po przewiezieniu Zbyszka do Elbląga — relacjonuje Wacław Dernoga.

„Można przyjąć, że zgon nastąpił wskutek utonięcia — zapisał w protokole oględzin i otwarcia zwłok elbląski lekarz. — W okolicy skroniowej, po stronie prawej, stwierdza się w obrębie skóry ranę długości 2,5 cm (...) zszutą szwem ciągłym, grubą llnianą nicią.”

„W czasie oględzin nie stwierdziłem na głowie zmarłego żadnej rany ciętej — zeznał lekarz łomżyński. — Jeżeli podbiegnięcia krwawe są, to powinny być zauważone i odpowiednio ocenione. Dlatego też prawdopodobnie (podkr. A.J.S.) nacinałem skórę na głowie zmarłego i prawdopodobnie przy oporządzaniu zwłok nacięcie to zostało zszute przez laboranta.”

— Prokuratura Rejonowa umorzyła dochodzenie z braku przesłanek, które wskazywałyby na zabójstwo — stwierdza Wacław Dernoga.

Rodzice Zbigniewa odrzucają myśl, że ich syn mógł popełnić samobójstwo. Wyliczają błędy popełnione w pierwszej fazie dochodzenia: nieprzeprowadzenie sekcji zwłok; niewykonanie zdjęć ciała w wodzie i po wydobyciu na brzeg; „zagubienie”, będącego w aktach, kalendarza Zbyszka, w którym czerwoną obwódką zaznaczył datę 25 marca 1983 (poza tą żadną inną nie była podkreślona), oraz kuponu na obiady, z którego wycięta była kartka na dzień 26 marca 1983; niezabezpieczenie ubrania zmarłego.

— Sekcję zwłok zarządza się w przypadku stwierdzenia obrażeń zewnętrznych — wyjaśnia prokurator Iwanowski z Prokuratury Wojewódzkiej, nadzorujący sprawę Zbyszka. — Kalendarzyk i kupon obiadowy są w posiadaniu WUSW-u w Łomży.

„Stwierdziłem zasadność podniesionych zarzutów — odpowiedział w piśmie z dnia 5 września 1983 r. prokurator wojewódzki. — Opisane błędy, których dopuścił się niedoświadczony prokurator, zostały przeze mnie wykłonne osobie winnej zaniedbań.”

SAMOBÓJSTWO WSPOMAGANE?

— Poznałam Zbyszka — wspomina jego sympatia, Krystyna N. — gdy wprowadził się (1 kwietnia 1982 r.) na Miłą 13. Mieszkałam wówczas na tej stacji. Był tajemniczy i skryty. Nie chuligan, nie palił, nie lubił wypić. Stanowczy, opanowany, poważny. Raz zwierzył mi się, że zanim mnie poznał, chodził z jakąś Irką. Nie mówił o niepowodzeniach. Może uważał to za oznakę słabości. Domator; jeśli gdzieś szedł, musiał mieć jakiś cel. Nad Narew nigdy nie chodziliśmy. W wakacje byliśmy raz nad jeziorem. Okazało się, iż boi się wody, a mówił, że świetnie pływał. Prócz mnie przyjaźnił się z dwoma kolegami z klasy. Z nikim więcej się nie spotykał. Narzekał na szkołę jak każdy uczeń. Denerwowało go przekupstwo nauczycieli. Powtarzał III klasę z powodu matematyki. W IV klasie, na półroczu, też miał dwójkę z matematyki, ale nie przejmował się tym. Raz, w styczniu 1983, ze mną zerwał. Po kilku dniach się przeprosił i nadal było fajnie. Gdy byłam załamana i mówiłam, że życie jest mi obojętne, stanowczo ucinął moje gadanie. Nie wykluczam, że mógł coś skrywać.

— Ze stacji wychodził — bardzo rzadko — potwierdza słowa Krystyny współlokator Zbyszka, Janusz B. — Wyłącznie, o ile mi wiadomo, na spotkania ze swoją dziewczyną. Był zakochany. Jego nieobecność nigdy nie trwała zbyt długo. Zawsze nocował na stacji. Dużo się uczył.

O skrytości Zbigniewa świadczy słowa jednego z dwóch jego najbliższych szkolnych kolegów. Dariusza L.: — Kilka razy odwiedziłem go na stacji. Sympatii Zbyszka o imieniu Krystyna nie znałem

(podkr. A.J.S.); dowiedziałem się o niej dopiero wtedy, gdy Zbyszek zaginał.

Identyczną opinię o Zbyszku jako chłopaku wyjątkowo spokojnym, grzecznym, rzadko odwiedzanym, wydają właściciele domów, u których wynajmował pokoje. — Tylko raz wrócił pijanutki — przypomniała sobie córka właścicielki domu, w którym Zbyszek mieszkał przed wprowadzeniem się na Miłą 13. — Było to 9 grudnia 1981 r. Zaraz poszedł spać. Odwiedzał kolegę w internacie i czasami sobie pociągnął.

Ojciec Zbyszka znalazł w jego papierach zdjęcie dziewczyny. Przekazał je Prokuraturze.

— Zwierzał mi się ze wszystkiego — wspomina dziewczyna ze zdjęcia, która okazała się Irką, bez powodzenia poszukiwaną przez WUSW w Łomży. — Skarżył się na rodziców, że faworyzują rodzeństwo. Był realistą. Zdawał sobie sprawę z tego, że ta szkoła, którą wybrali mu rodzice, przerasta jego możliwości. Bardzo się przejął faktem, że oblał III klasę. „Ojciec mi wypomni, że nie zdałem — mówił — ale ja mu też wypomnę, że się mną nie interesował.” Pieniądzy mu nie żałowali. Dobrze był ubrany. Druga sprawa, że prawie weale tych pieniędzy nie wydawał. Po III klasie chciał się przenieść do zawodówki. Był wrażliwy. „Masz kłamać, to lepiej w ogóle nie mów” — strofował mnie. Opowiadał, co dzieje się w internacie, np. że chłopcy sami leczą choroby weneryczne i zdobywają oryginalne receptariusze z pieczęcią lekarza. W wakacje się nie odezwał. W jego samobójstwo nie wierzę. „Samobójstwo nie jest wyjściem z sytuacji” — powiedział kiedyś, gdy przeżywał trudności.

— Niedawno aresztowano za rozbój naszego ucznia — wita mnie dyrektor Technikum Weterynaryjnego. — Chłopcy w szkole są trochę podłamani, że zła sława z jednego przeniesie się na wszystkich. A to przecież odoobnione przypadki. Szkoła jest zdrowa. Alkoholizm wytypilem!

— W Technikum było duże poruszenie po śmierci Zbyszka — walcza się zastępca dyrektora. — Jedni uczniowie mówili, że utonął, drudzy, że mu „pomogli”. Ale z jakiego powodu, nie umieli odpowiedzieć.

— Cichutki, spokojniutki, jakby go w klasie nie było — opiniuje wychowawca Zbyszka. — Uczeń trójkowy, kulał z matematyki.

— Miał zahamowania z tego przedmiotu — wyjaśnia matematyk. — Łatwo się tremował. Nie przejął się dwójką na półroczu. Do końca roku miał czas się poprawić.

MOTYWY „POMOCY”?

Do Prokuratury Generalnej trafił anonim, wysłany z Kolna z datą stempla pocztowego: 18 sierpnia 1983 r., pisany na maszynie. Autor (autorzy?) pisze w nim o włamaniach i kradzieżach dokonanych przez 4-osobową grupę młodych ludzi z Małego Plocka; dwóch z nich skończyło w tym czasie Technikum Weterynaryjne.

„Prawdopodobnie utopili w rzece Narew swojego kolegę (był również uczniem w/w technikum w Łomży, pochodził z okolic Grajewa), ponieważ za dużo wiedział o nich. Zwłoki jego znaleziono po Wielkanocy.”

Opisane fakty kradzieży znalazły swoje potwierdzenie podczas wcześniejszego dochodzenia.

— Młodzież z weterynarii przoduje wśród łomżyńskich szkół średnich — mówi prezes Sądu Rejonowego w Łomży, udostępniając akta sprawy czteruosobowej grupy z Małego Plocka — w ilości popełnionych przestępstw.

W nocy z 18 na 19 marca 1983 r. nieznaną sprawcy obrabowali w Małym Plocku dwa samochody. W nocy z 26 (dzień, w którym po raz ostatni widziano Zbigniewa) na 27 marca ktoś włamał się do garażu w Marianowie i okradł stojące tam dwa fiaty 126 p, będące własnością nauczycieli z Zespołu Szkół Rolniczych w Marianowie. Dość szybko, bo po miesiącu, milicja ujęła sprawców. Okazali się nim czterej młodzi ludzie; dwóch z nich to uczniowie maturalnej klasy Technikum Weterynaryjnego.

Pierwszy „skok”, zeznali, zrobili pod wpływem alkoholu, „dla żartu”. Drugi, by spowodować dolegli-

wości nauczycielowi z Marianowa, który oblał z jazdy brata J.S., ucznia Zespołu Szkół Rolniczych”. Z zeznań wynika, że wyjechali z Małego Plocka we trzech około godziny 9.00. Samochód zaparkowali przy drodze prowadzącej do „Tawery”. Po zagarnięciu i ukryciu łupów w bunkrze w pobliżu wsi Mściwuje (gmina Mały Płock) rozstali się około godziny 2.30 w nocy przy cmentarzu w Małym Plocku. Akt oskarżenia został sformułowany 31 maja 1983 r. Podejrzani przyznali się do winy.

Z zeznania Wacława Dernogi, złożonego 29 września 1983 roku, a więc w miesiąc po wpłynięciu do prokuratury anonimu: „Zbyszek jesienią bądź zimą 1982 roku chciał kupić kurtkę skórzaną. Zobaczył taką u kolegów ze szkoły. Mają bogatych rodziców, opowiadał, handlują dolarami, są spoza Łomży. Za jedną noc stracili w Grand Hotelu w Warszawie 50 tys. złotych — chwalił się synowi. Datem Zbyszka kowi 12 tysięcy złotych. Nie kupił kurtki. Rozliczył się z pieniędzy „Nie pojechałem z nimi — oświadczył — za dużo tracę”. Mówił o kradzieżach w szkole, że giną kożuchy, że Ewie K. zginęły sztruksy. Ja wiem, kto to mógł zrobić — powiedział mi syn — to R. i Sz.” (nazwiska dwu z czteroosobowej grupy włamywaczy).

BRAKUJĄCE OGNIWA?

— Zbyszek nigdy nie mówił mi, że zamierza kupić skórzaną kurtkę — stwierdza Krystyna.

— Dwaj najbliżsi koledzy Zbyszka, współlokator, sympatia i wychowawcy stwierdzają jednomyślnie, że Zbyszek nie utrzymywał żadnych kontaktów z R. i Sz. Nigdy nie widzieli ich razem.

— Zbyszek wiedział, o kogo chodzi — mówi Krystyna N. — Kiedyś zapoznałam go z byłą dziewczyną Sz. Gdy spytała Zbyszka o Sz., stwierdził, że wie o kogo chodzi, ale nie na jego temat nie powiedział. Ja ich znałam z widzenia, dojeżdżałszy tym samym autobusem do szkoły. — Krystyna pochodzi z Korzenistego, wsi leżącej za Małym Plockiem.

Podejrzani także kategorycznie stwierdzają, że nie znali Zbyszka. O jego śmierci słyszeli: „Była to szkolna sensacja”. Nie widzieli jednak, o kogo chodzi, i nie interesowali się tym.

— Podczas przesłuchania Sz., 29 września 1983 r., powtórnego, w mojej obecności — mówi Wacław Dernoga — pokazałem mu zdjęcie Zbyszka i zapytałem, dlaczego się wypiera znajomości z moim synem. Zaczął płakać. Prokurator nie zanotował tego. Sz. zaprzeczył również, że śledził mnie w lipcu, gdy Krystyna N. odprowadzała mnie na przystanek autobusowy w Korzenistym. Zapisalem sobie numer rejestracyjny.

Słowa Wacława Dernogi częściowo potwierdza Krystyna N.: — Jacyś dwaj mężczyźni w ciemnych okularach nadjechali czerwonym fiatem 126 p z naprzeciwka; potem jechali za nami, wyminęli nas i zawrócili. Gdy doszliśmy do PKS-u, pojechali w kierunku Małego Plocka. Numeru nie zapamiętałam, nie widziałam jednak, aby pan Dernoga notował numer tego samochodu.

Sz. przyznał, że fiat z taką rejestracją należy do jego ojca, ale on nie mógł nim jechać, gdyż 4 czerwca rozbił samochód na drzewie w Porytem (gmina Stawiski). W okresie 1 IX 1982—30 VI 1983 r. R. i Sz. nie mieszkali w Grand Hotelu.

— Zabić człowieka to już poważna rzecz — mówi R., którego odwiedzałem w domu (Sz. został powołany do wojska). — Co robiłem 29 marca 1983? Nie pamiętam. Przecież to prawie dwa lata temu. Nigdy nie byłem w „Grand Hotelu”. w „Victorii” — tak. Żeby oskarżać, trzeba udowodnić.

SLEDZTWO TRWA

Samobójstwo, zabójstwo czy nieśczęśliwy wypadek? Dotychczas śledztwo nie zdołało w sposób jednoznaczny potwierdzić bądź obalić jednej z trzech hipotez. Nadejść jest znaków zapowiadających, że ktoś z tej trójki powie coś, który cokolwiek wiedzą o obojgu. — Czyli śledztwo trwa.

ADAM JERZY SOCHA

spiećcia



9

KONTAKTY
23 XII 1984
30 XII 1984

Most na Narwi przy rogatkach Łomży znajduje się na drugim miejscu — po moście w Plocku — krajowej listy przeznaczonych do kapitalnego remontu. Odciałył go miał nowy most, będący przedłużeniem miejskiej obwodnicy. Plany powędrowały jednak do szuflady, jako że dopatrzone się błędów w założeniach. Zorientowani donoszą, że „właściwe czynniki w Warszawie myślą”. Chcielibyśmy zaspokoić ciekawość, czego brak w Łomży: „właściwych czynników” czy myślenia?

Miejska Rada Narodowa w Łomży zwróciła się do białostockiego WRN-u z uprzejmą prośbą o spowodowanie przyspieszenia przez tamtejszą „przemysłówkę” budowy piekarni, na której pieruszy wypiek łomżyńscy już od dawna ostrzą zęby. WRN prosił nie zadośćuczynił, gdyż organem założycielskim przedsiębiorstwa nie jest wojewoda białostocki, lecz warszawski minister. Reforma przywróciła do łaski organy, nie zadbała jednak o organistów.

Panie wychowawczynie z Przedzszkole nr 7 w Łomży składają zamówienia u rodziców przez dzieci. A to napiliłyby się kawy, a to porobiłyby na drutach z walających się po kątach resztek wełny. Czym skorupka za młodu... Oczekujemy na życzenia pań ze złotych.

W ubiegłym roku na roboty melioracyjne w województwie łomżyńskim hojna centrala PZU nie przeznaczyła ani grosza. Zaginęło odpowiednie pismo z odpowiednią prośbą. W tym roku, nadrabiając batagan w urzędniczych biurkach, wyasygnowała na ten cel aż 29 milionów złotych. Trzy razy więcej otrzymało z tego samego funduszu „superbagienne” województwo kątowickie. „Spiećcia” proponują utworzenie specjalnego funduszu na zmeliorowanie pewnej centrali.

Jeszcze niedawno we wsi Szulborze Wielkie (gmina Zaręby Kościelne) jedynym miejscem spotkań był klub „Ruch”. Mieszkańcy zebrali się jednak w sobie i w krótkim czasie — społecznym wysiłkiem — postawili kapliczkośćótek i knajpę. W klubie ucichło. A jakże skoro Duch ma świeczkę, diabeł ogarek — kaganek oświaty tylko kopci.

„Spiećcia” z przyjemnością donoszą ze w łomżyńskim osiągnięto kolejny sukces. W Piątnicy utworzono siedemnastą w rejonie zdrowotnym Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego poradnię „K”. Osiemnaście Szpital zatrudnia tylko lekarzy. Fakt, że poradnie stoją pułapem w osiedlu, nie przeszkadza w ich funkcjonowaniu. Przynamniej można na lekarza w ciepłe Chocim się bierz.



ZACHOWANE W PAMIĘCI

Na Wigilię musi być, oczywiście, ryba, ale też wino lub butelka wódki, kapusta z grzybami, owoce, kluski i obwarzanki z makiem, uszka z barszczykiem buraczkowym... U nas nie ma tych celebrazji, jak gdzieś indziej w kraju, ale świąteczny stół musi być bogaty.

Helena Nowacka przeżyła już 83 Wigilie i zawsze, jak pamięta, tradycja była uszanowana. Nawet w wojnę. Choć — prawdę mówiąc — od trzydziestego dziwiącego nie miała szczęśliwych świąt. Zawsze brakowało kogoś z najbliższych...

Najpierw zabrakło męża. Niemcy, choć pojawili się na krótko, zabrali wszystkich mężczyzn do pracy w Niemczech. We wsi zostało dwóch starców i siedemdziesiąt mężatek. Helenie Nowackiej nie było jednak dane spokojne życie z jedenastoletnim synem.

— Wkrótce przyszli Rosjanie i ustanowili tu własną administrację. Mnie kazali przyjąć do siebie komendanta milicji. „Dom duży — powiedzieli — a wy tylko z synkiem.”

Śię, że gdyby żyli, prędzej czy później by napisali.

Dom nie świecił długo pustkami. Zakwaterowali się w nim niemieccy żandarmi. Posterunek wyszukowali sobie w szkole, a u Nowackiej — nocleg i wyżywienie.

— Spokojni byli i na ogół specjalnej krzywdy nikomu nie robili. Tylko ostre wprowadzili przepisy: wszystko kazali pospisywać, co kto hoduje, i pilnowali, żeby zdawać na skup co do jaja, do kilograma ziarna. Ale jacy byliby z nas gospodarze, gdybyśmy sobie czegoś nie uszczknęli, nie wyhodowali więc? Chociaż nawet za znalezienie tłuczki do masła groziło więzienie, biliśmy masło, kreciliśmy zboże w żarnach, a nawet dusili świnia. Już zarzniętego sparzało się wodą; do wykopanego w piwnicy wadółka wstawiało się wiadro z mięsem, zakrywało i przysypywało kartoflami. Tylko raz się zdarzyło, że niemiecki komendant powiedział mi: „Ty, matka, powiedz swoim kobietom, niech zarzną świnia. Niech choć w święta nie jedzą z postem. Ale tak, żeby nikt o tym nie wiedział”. Drugi komendant bardziej

padli na posterunek, zabili komendanta i jeszcze jednego. Potem nadjechał samochód z trzema Niemcami, m.in. z bratem czy szwagrem komendanta. Partyzanci pobili ich, zawlekli do piwnicy szkolnej, rozebrali i powiazali jak barany, a sami uciekli. Uwolnili Niemców wójt z sołtysiem. Nakarmili, dali odzienię, nocleg.

Na wieś padł strach. Mężczyźni co noc trzymali warty. 13 lipca, o trzeciej nad ranem, mąż wpadł do domu z krzykiem: „Chyba coś się szykuje, uciekajcie!” Sam pobiegł budzić pozostałych. Uciekałam z synem przez rzekę. Wtedy potrafiła jeszcze wezbrać! Gdy syn nie doszedł jeszcze do połowy, a woda sięgała już ust, zawróciliśmy. Za stodołą spotkałam bratową. Pociągnęła nas w pole. Za chwilę zatrzymało nas groźne: „Halt!” Jeden z mundurowych krzychał: „Strzelaj!” ale drugi powstrzymał go: „Nie bądź taki prędki, też masz żonę i dzieci, i nie wiadomo, co z nimi będzie. Wojna nie skończona”. To byli chyba Mazurzy, bo mówili po polsku. Ostrzegali, że jest jeszcze jedna linia. Słiszyłam żyłami. Nagle huknął strzał. Pociągnęłam

wciąż inni, frontowi żołnierze. Przychodzili zmęczeni, zziębnięci, umorusani. Gar wody bez przerwy stał w kuchni na ogniu. Jedli swoje suchary i solone śledzie; w świątek i piątek. Bożego Narodzenia nawet nie zauważyli. Markotna to Wigilia, gdy dom pełen ludzi, ale obcych. I choć w nim gorąco, brakuje ciepła.

Zimą czterdziestego piątego, razem z frontem, odeszli żołnierze. Do niektórych domów zaczęli wracać, wywiezieni kilka lat temu, ojcowie i synowie.

— Jak i inne wdowy, sama musiałam sobie radzić z gospodarką i wychowywaniem dziecka. Polityką nikt się u nas nie zajmował. Dworu nie było, bezrobotnych też nie. Każdy na swoim siedział, gospodarzył uczciwie, by powoli ziemi dokupić. Naród u nas spokojny, dobry, nigdy nie było i nie ma zwad i kłótni sąsiedzkich. I choć od polityki trzymaliśmy się z daleka, ona do nas sama przychodziła. Kto się spodziewał, że ten najgorszy mord, w sierpniu czterdziestego siódmego, na staroście Żeglickim, przewodniczącym Tońskim i kierowcy będzie w Zawadach. Ludzie przyszli spokojnie na zebranie, a tu takie zajście. Wojsko potem zjechało. Szukali „Roli” i jego kompanów.

Czasy się zmieniły, u mnie lokatorzy też. Teraz kwatrowało ośmiu z Urzędu Bezpieczeństwa i wojskowy porucznik. Przed domem — zawsze warty. We wsi mieszkało jeszcze czterdziestu żołnierzy. Jeździli łapać „leśnych”, ale częściej przyprowadzili naszych, rolników; niby za współpracę z podziemiem. A naprawdę wyglądała ona tak, że zjawiał się jakiś taki, znany lub nie znany, żądał jedzenia, czasem noclegu. Odmówiłeś, w najlepszym przypadku wziął sam, w najgorszym — posyłał do piachu. Dowiadywało się o takiej wizycie UB, zaraz brało na spytaki. „Przepytywali” najczęściej w moim domu, bo posterunku nie mieli. Naoglądałam się ja i nasłuchałam tego. Sześć razy dosłownie mdlałam... Potem prowadzili takiego człowieka do piwniczki i żołnierze go pilnowali. Jeśli mi się udało, wciskałam mu wcześniej za pazuchę kawałek chleba, dawałam coś do picia. Ci z UB przysmykali na to oczy, bo i z nimi jakoś potrafiłam żyć. Można się było dogadać z Rosjanami, nawet z Niemcami, to co dopiero ze swoimi.

Zresztą, źle ze mną nie mieli. Jak trzeba było, to im prałam. Co mi pozostawało, jeśli rzucali bieleżną na podłogę i... czekali. To był taki mój niepisany „społeczny obowiązek”. Chociaż mieli swego kucharza, nigdy nie odmawiali poczęstunku z mojego „kotła”. Czasem tylko ściagałam z nich pewną opłatę: samogon. Przywozili z terenu i po dwadzieścia litrów, więc odlewałam litr, dwa i uzupełniałam brak wodą. Wiedzieli, że nie piję, to nawet nie podejrzewali. Ale też, po prawdzie, nie dla siebie podkradałam, tylko dla żołnierzy pilnujących aresztantów. Pozwalali mi wtedy podrzucić im słomy i jedzenia.

W Wigilię zrobiłam kolację dla wszystkich (trudno w taki dzień nie spotkać się przy wspólnym stole), a gdy „moi” ubowcy poszli spać, wynieśliam się z opłatkiem i jedzeniem dla aresztantów, a butelką dla żołnierzy.

UB odeszło, kiedy złapali „Szalonego Stasia”. Długo na niego polowali. Sprytny był i miał niespotykane szczęście. Tyle razy przechodził obok, a nawet mieli go w rekach, choć o tym nie wiedzieli. Organizowali obławę w jego rodzinnej wsi, a on im przez okno dawał drapak w las. Kiedy go zabili, przywieźli samochodem do Zawad, położyli pod płotem i kazali rozpoznawać. Ludzie walili jak do kościoła. Ja, chociaż go nie znałam, też poszłam popatrzeć. Ładny był chłopak...

Potem zapanował spokój i codzienne wyrwanie ziemi chleba. Syn wydorósł, ożenił się. Teraz już wnuki zaczynają samodzielne życie. Przy wigilijnym stole coraz więcej członków rodziny, ale to — puste od czterdziestu pięciu lat — miejsce wciąż tym samym przejmuję ja smutkiem.

— Wiem, że już nigdy nie przełamiemy się opłatkiem, nie powinniśmy sobie. A stół, choć teraz suto zastawiony, wiecznie będzie tak biedny, jak kiedyś pusty. Wydawał mi się dom, choć zawsze pełen ludzi.

Fot. CAF



DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY

Zjawił się ten komendant: młody, sympatyczny. Powiedział mi (znałam rosyjski, bo w poprzednią wojnę wywieźli naszą rodzinę do Rosji): „Grażdanin, jak to będzie wyglądało: młody mężczyzna u młodej, samotnej kobiety? Co innego, gdybyście żonę mieli...” „Chociesz? Ja przywiezu!” — on na to. I przywiózł. Szczera była kobieta, ale nie ugotować nie umiała. U siebie, w Witebsku, jedli w stołówkach. W Zawadach restauracji nie było. Komendant, choć zadowolony z pokonania i kuchenki, przyszedł już pierwszego dnia do mnie: „Chazajka, ja wam we wszystkim pomogę, ale nauczcie żonę gotować, bo inaczej pomrzemy z głodu”. Niuszka była bardzo pojętna, no i chętna do tej nauki. Nie odstępowała mnie przy żadnej robocie. Po trzech miesiącach skulona, pomarszczona kobieta, o twarzy jakby mchem porosłej, zmieniła się w gładką, zgrabną dziewczynę. Tamta brzydka skóra z niej oblaża, buzia zaróżowiła się. Z kooperatywy dostała raz i drugi jakiś materiał. W nowych sukienkach wyglądała jak lala. Zaprzyjaźniłyśmy się bardzo. Chodziła nawet ze mną do kościoła. Na Boże Narodzenie zabiłam świnia, napiekłam ciasta. Świętowaliśmy wspólnie.

Na początku czterdziestego pierwszego Niuszka z mężem musieli uciekać przed Niemcami. Ale nie wiem, czy im się to udało, bo słyszałam, że zanim Niemcy przyszli do Zawad, najpierw zajęli Grodno i Białystok. Przez te czterdzieści trzy lata nie dali znaku życia, a ja my-

ślubowo podchodził do życia i trzeba się było mocniej kryć. Pastorka też nie mogła być o północy, tylko o szóstej rano, jak resurrekcja.

Następnego roku wojna znowu dała znać o sobie. Znowu ubyło ludzi: trzydziści parę rodzin żydowskich. Żandarmi zgarnęli wszystkich jednego dnia, gdy przepędzali z Tykocina i okolic sześć tysięcy Żydów. Trzymali ich dzień w naszej szkole, a potem wywieźli do Lasu Stelmachowskiego. Dobyli już wcześniej przygotowane. Potem brali ludzi od nas, żeby je pokryli dyktą i przysypali ziemią.

Cały rynek opustoszał. Żydzi trzymali wszystkie młyny, sklepiki. Niektórzy mieli trochę ziemi. Przeżył tylko jeden. Ukryła go siostra, która przed wojną wyszła za Polaka. Wtedy rodzina ją wykłęła, a matka chciała nawet otruć. Bo choć żyliśmy ze sobą w zgodzie, „mieszanie się” w stadła nie było dobrze widziane.

Na początku czterdziestego trzeciego wrócił z Niemiec mój mąż. Pracował tam u gospodarza, więc nie głodował, nie cierpiał tak, jak ludzie w obozach, ale powiedział, że nigdy już nie chciałby tam wrócić, od życia tam wolałby śmierć, ale na swojej ziemi. Umarł, jak sobie życzył, na ziemi ojców, lecz kto by się spodziewał, że tak szybko to nastąpi.

Partyzantki tu nie było. Wokół same pola, „leśni” nie miałiby nawet gdzie się kryć. Ale kiedyś zjawili się i tutaj. Na-

reka po piersiach i plecach — ani kropki krwi. Wtedy zrozumiałam, że ta kula trafiła męża.

Leżał niedaleko, tuż za wsią, w konopiach. Nie mógł wiedzieć, że gdyby nie uciekał, na pewno by przeżył. Obława była odwetem za śmierć dwóch Niemców. Ich żony żądały, by całą wieś spalić. Tych trzech uratowanych przez wójta twierdziło, że nie wieś winna, lecz partyzanci. Postanowili więc ukarać nas tylko częściowo. U sołtysa była lista „podpadniętych” za ubój świnia, za ociąganie się z robotami dla Niemców itp.; 38 nazwisk, w tym parę całych rodzin: dwie pięcio- i jedna ośmioosobowa. Nawet kobieta w pociąg z jeszcze nie chrzczonym dzieckiem. Ponieważ trzech z listy im zabrakło, dobrali do kompletu jak leciało. Wszystkich wyprowadzili na szosę, a potem zamordowali na Łysej Górze razem z 70 osobami z Laskowca. Męża na tej liście nie było... Tyle dla niego zrobiłam, że pojechałam do komisarza do Rutek, żeby dał zezwolenie na pochowanie go na cmentarzu.

Wigilia czterdziestego trzeciego roku była najsmutniejsza. Jedno nakrycie zawsze, nieodwołalnie, miało zostać puste... Lecz dom, jak zwykle, gościł wciąż nowych ludzi, szukających dachu nad głową. Latem czterdziestego czwartego zjawili się Rosjanie. Przez kilka długich miesięcy front stał na Narwi. Na wizeńskiejszynie panował ciągły ruch, a przez drewniany dom Heleny Nowackiej przewijali się,



O sposobach wspomagania szkoły, społecznych jej protagonistach, etatowych „mędracach” i racjonalnej hierarchizacji potrzeb — z Grzegorzem Flejterem, przewodniczącym Ogólnowojewódzkiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole i wiceprzewodniczącym Rady Wojewódzkiej PRON — rozmawia Stanisław Zieliński.

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Szkoła jest dzisiaj tematem bardzo drażliwym, wywołującym ogromne emocje. W jakiej więc, oprócz wywołania tematu, roli widzi Pan Narodowy Czyn Pomocy Szkole?

GRZEGORZ FLEJTER: — To akcja odsieczy szkole, która znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Czas, byśmy wszyscy uzmysłowili sobie ten problem i jego rozwiązywaniu poświęcili należną uwagę. W wielu miejscowościach uczniowie nie mają właściwych warunków do nauki i, co gorzej, nie ma ich kto uczyć.

— Ta dramatyczna wręcz sytuacja nie jest przecież efektem katastrofy. Prognozy demograficzne sygnalizowały nadchodzący wyż. Utworzone przed laty gminne centra oświatowe eksponowały groteskowy wprost prymityw wyposażenia i ciasnotę w salach lekcyjnych, choć stało już tysiąc szkół wybudowanych na tysiąclecie.

— Odpowiedź na pytanie: jak do tego doszło, choć i ono powinno być postawione, niewiele zmieni stan, jaki mamy. Z prognozowaniem w demografii jest często podobnie jak z pogodą. Raz się trafi, raz nie. Tysiąc szkół, owszem, powstało, ale to było dwadzieścia lat temu.

Tłok w klasach ma swe nie tylko demograficzne przyczyny. W prognozach niewiele się pomyłono. Przyczyny są konsekwencją wynikającą z lat siedemdziesiątych, gdy zmniejszył się udział nakładów na oświatę. Przedsiębiorstwa wykonawcze nie przerabiali wszystkich środków. Także w ostatnich latach dochód narodowy spadał — dopiero ostatnio zaczęliśmy wychodzić z dolka. Budżet państwa jest jednak nadal nieźrównoważony. Dzieci natomiast rodzi się właśnie więcej. Tak więc możliwości państwa są mniejsze przy rosnących potrzebach, które zostały jeszcze spotęgowane przez wolne soboty w szkołach.

— Nie sposób chyba odebrać nauczycielom tego, co z trudem uzyskali, do czego już przywykli? Spodziewa się Pan, że dobrowolnie zrezygnują z wolnych sobót?

— Nie chodzi o zmniejszenie nauczycielom czasu wolnego, ale dlaczego to mają być wolne soboty, a

nie poniedziałki czy wtorki. Chodzi o taką organizację pracy, która zagwarantuje szkole 6-dniowy tydzień nauki. Gdyby w Łomży wszystkich osiem szkół pracowało w wolne soboty, uzyskiwalibyśmy jak gdyby dodatkową szkołę.

Równoczesne przyspieszenia budowy drugiej i rozpoczęcie trzeciej szkoły w osiedlu Południe byłoby już pewnym panaceum na bolączki Łomży.

— Hasło pomocy szkole z reguły trafiało na sprzyjający grunt, wieloletnimi pięknymi tradycjami może się poszczycić zwłaszcza wieś. Tak się stało i tym razem. Czym jednak wytłumaczyć, że odzew łomżyński (utworzenie pierwszego w kraju Ogólnowojewódzkiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole) był najszybszy?

— Mamy dobre przykłady i doświadczenia zaangażowania mieszkańców województwa w działania społecznych, czynowych dla oświaty. W wystosowanej w czerwcu odezwie uświadomiliśmy mieszkańcom, że w nadchodzących latach trzeba wybudować 40 przedszkoli, 56 szkół podstawowych, 900 mieszkań dla nauczycieli, a zmodernizować 49 szkół i innych placówek oświatowych. Pochłonie to — licząc w cenach bieżących — 12,5 miliarda złotych. Tymczasem w kończącym się trzyleciu na budżet oświatowy przeznaczano się tylko 800 milionów złotych.

Wielu mieszkańców przyjęło nasz apel z takim właśnie zrozumieniem

i autentyczną, rodzicielską obawą o przyszłość społeczeństwa. Sympią się więc dobrowolnie wpłaty od instytucji i zakładów pracy, szkół, organizacji społecznych i młodzieżowych, pojedynczych obywateli.

— Jak z tym pogodzić z tą ofiarnością ujawnioną na ostatniej sesji WRN-u fakt, że województwo nie wykorzystало 27 milionów złotych z oświatowych nakładów inwestycyjnych przekazując je na inne cele. Jak to jest? Z jednej strony apel, że państwo nie daje rady i dlatego ciężar pomocy szkole przerzuca się na barki społeczeństwa, a z drugiej — nie wykorzystuje państwowych środków.

— Sądę, że to dowód przestarzałego sposobu myślenia — preferującego sprawy produkcyjne. Zapomina się, że bez dobrej szkoły nie ma postępu, nie ma nowoczesnej gospodarki. Mam nadzieję, że jest to ostatni przypadek takiego myślenia. Jako Komitet będziemy domagać się spłacania tego „długu” już od przyszłego roku.

— Ogólnowojewódzki Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole odwołuje się do najsilniej zakorzenionych uczuć

społeczństwa — miłości, wrażliwości do dzieci.

— Do uczuć także, ale przede wszystkim wskazuje, korzystając z istniejących przykładów, na możliwości zmiany na lepsze obecnego stanu. Gdy powstawał OKNCzPSz w Łomżyńskim istniało 18 komitetów budowy i rozbudowy szkół. Tworzący je ludzie dają przykład, jak działaniem, a nie gadaniem naprawiać Rzeczpospolitą. Nie licza pracy, czasu, pieniędzy na ten cel. Efekty są już nadto widoczne. Dzięki ich ofiarności powstają nowe szkoły: ze stołówką, mieszkaniami dla nauczycieli, salami gimnastycznymi.

— A PRON rzucił hasło i dopełnił te

spontaniczne inicjatywy fasadą nadbudową.

— Uczynił z nich wielkie narodowe wołanie o oświatę dla młodego pokolenia i walczy o to, by ów głos przeniknął wszystkie umysły. Są tego efekty. W województwie istnieją już 32 wiejskie komitety budowy szkół. Jedne startują, inne ubiegają się już o materiały na dach. Idea rzucona przez PRON zakreśla coraz szersze kręgi. Już w 23 gminach powstały także Komitety Narodowego Czynu Pomocy Szkole.

— Czy szansa wymiany doświadczeń, jaką stwarzacie, wyczerpuje oczekiwania wobec gminnych i Ogólnowojewódzkiego Komitetu?

— Ależ my nie ograniczamy się tylko do tego. Zbieramy pieniądze i gromadzimy je na konta, by wspierać działalność finansowo. Propagujemy pomoc dla szkoły wśród zakładów pracy. Wskazujemy sposoby, jak mogą wspierać budownictwo szkół samorządy osiedlowe, wiejskie, pracownice. Reforma wprowadziła trzy „S”, a więc i dysponowanie własną gotówką, z której część załogi mogą przekazać przynajmniej na potrzeby placówki oświatowej. Upominamy się także o należne uhonorowanie tych, którzy swoją postawą społecznikowską dają przykład innym. Będziemy budować im autorytet. Ich głos musi się liczyć wszędzie, bo przecież nie w swojej prywatnej sprawie występują, ale publicznej. I to jak ważne!

— Idea Narodowego Czynu Pomocy Szkole rozpisana jest aż na dziesięć lat. Przecież dwadzieścia lat temu wznosiliśmy tysiąc szkół na tysiąclecie i potem nadszali niżej...

— Ale teraz kolejny wyż i społeczeństwo nadal będzie wzrastało, a nie kurczyło się.

— A jeśli dwie, blisko siebie położone wsie, zechcą budować jednakowo duże szkoły?

— Powinny połączyć wysiłki. Wygrywanie partykularnych interesów kosztem naszej idei przyniesie więcej szkody niż pożytku. Uruchomienie szkoły to przecież nie tylko postawienie murów i wyposażenie jej, ale także i zapewnienie nauczycieli, bibliotek, warunków do rozwoju kultury fizycznej i sportu. Można rywalizować w budowie obiektów towarzyszących: basenów, boisk, mieszkań dla nauczycieli! Dla każdego wystarczy miejsca, by wykazać się umiejętnościami i zaspokoić ambicje.

— Dziękuję za rozmowę.

szkole na odsiecz





ODSLONA I

(Jaka jest sceneria — każdy widzi)

ANIOŁ NAD SZOPĄ

Trzej królowie zawitali
o jesiennej porze.
Bez zaproszeń przyjechali.
Ratuj się, kto może!

Goś — nazywał się ten pierwszy,
It — nazywał drugi.
Trop — ten trzeci. Wszystko jasne?

Zbędny wierszyk długi.

Jeden zdrowe miał kropidło,
drugi wiadro wody,
trzeci — prysznic oraz mydło,
wszyscy trzej — powody.

Zdjęli białe rękawiczki,
sprzęt ujęli w dłonie,
zapukali w różne drzwiczki —
„Dzień dobry, wankonie!”

GOT

Słychać sapanie postaci zwalistej
ZYCZLIWY

To burmistrz, tropiąc kuropatw
cieczkę,
brnie w gąszczu biurokracji czystej.
Ma wielką chęć na ucieczkę.

BURMISTRZ (wychodzi niespodzie-
wanie, krokiem skradającego się,
przed szopą; czujnie się rozgląda
dzierząc flintę gotową do strzału)
Czy nie czas wreszcie zmienić
okolice,
szczęścia poszukać na innym
łowisku?

Czemuż, ach czemuż oczami wciąż
świecę,
siedząc na ważnym stanowisku?

Święte złożyłem przyrzeczenie,
że drugie w mieście zapalę
światło,

skarpe w cudowny ogród
zamienię...
grosza mi jednak jakby zabrakło.

ZYCZLIWY

Cieknę kuropatw stado po grudzie,
sumienie boli, śmieją się ludzie.

CHÓR ANIOŁÓW

Kreć się karuzela, kreć,
stolek za stołkiem w kółko obraca.
Na stołkach siedzą decydenci —
mało kto spada, taka to praca.

WIELOFUNKCYJNY (żałośliwie)

Kreć się, kreć karuzela,
aż od obrotów w głowie się miesza.
W locie pasażerów zabiera,
a pod nią — gapiów rzesza.
Stoję razem z tą tłuszcą,
o głowę wyższy, w ramionach

szerszy
i myślę, że jednak mnie puszcza —
wiadomo przecież, że nie piszę

wierszy.
Wierszy nie piszę, opowiadań nie
składam.

Jak mi przykaże, tak potem gadam.
Stoję tu już lat tyle —
wieczny aspirant wielkiej kariery,
a ponad głową, jak złote motyle,
migają w słońcu medale, orderzy.
Czasem coś spadnie, o kamień

brzęknie.
Podniosę z ziemi, omyję z błota,
a w sercu wtedy coś nagle pęknie
i wyje długo zraniona tęsknota:
by wierszy popisać, opowiadań
naskładać,

innym przykazywać, jak powinni
gadać.

Ale siodełko dla mnie wybrane
coraz wyżej i wyżej ponad głowy
leci.

Choć trzy bilety na nie sprzedane,
ja ciągle jestem tylko ten trzeci.

WŁODARZ I (pcha biurko na kół-
kach)

Pewien mądry Żyd powiedział:
„Człowiek to myśląca trzcina”.
Nie wiem dobrze, na czym siedział,
lecz rozumiem, że się zginał.
Do tej myśli brylantowej
radę dam, jak przeżyć z zyskiem:
dziś trzcina giąć musi głowę
trochę przed, nie pod

naciskiem

Spełniam to, gdy w górę patrzę.
Innym kieruję się wzorem,
gdy w dół i wokół spojrzeć raczę
Jam naczelników nestorem!

Złośliwi: „On z diablem w paktach
albo gorszych jeszcze zмовach”.
Jam skromny, dla łaskawych

laskaw

I urząd czas rozbudować...

Dotrwam do końca; nie stołka —
gminy, bo przyszłość Piątnicy
w wielkiej, stutysięcznej Łomży.
Pokornie przyjmę Urząd dzielnicy.

CHÓR ANIOŁÓW

Gmina jak stajenka cicha.
Každy do swej gwiazdki wzdycha.
Naczelniczka jest jak matka,
w niej nadzieja do ostatka.
Może wkrótce przybieżem
do jej nowego Betlejem?

WŁODARKA (wchodzi poganiając
KRASULĘ)

Zaraz, zaraz!
Jeszcze nie gotowy taras.
Choć na pęczki mam tu bydła,
brak mi złota i kadzidla.

KRASULA

Już wam więcej nie pozwolę
wywieść się na pańskie pole.
Bo choć daję rzekę mleka,
to połowa ginie w ściekach.
A te byki na dwóch nogach
poroznoszę wnet na rogach.

PASTERZ (zabiera WŁODARCE
KRASULĘ i podprowadza do szopy)

Dali zapis Na ostatek
pomnożyli mi podatek:
i przez lata, i przez rogi —
každy procent z innej drogi!
W dobrobycie czy też w biedzie
wszystko na Krasuli jedzie.

WŁODARZ II (wbity w przyciasny
garnitur, wpada zdenerwowany
przed szopę, gubiąc po drodze słow-
mę z butów)

Chlebuś, bułki, kawa czarna,
traktor, plug — a może żarna?!
Roztrząsacz i siewniki,
Ciegiem psute wymienniki.



Mleko kwaśne, pula mięsa,
Wodociąg, w stawie rżesa.
Nowych mieszkań ludziom brak,
stare toczy jakiś rak.

Tak czy siak, tak czy siak —
cosik dzieje się na wspak.
Mimo woli, mimo chęci —
sprawie lba się nie ukręci.

Paragrafy, okólniki,
Suplementy, rozdzielniki,
pliki ustaw, rozporządzeń,
nowych recept i... posadzeń.
Jakieś listy, odwołania.
Petent petenta pogania.

A decyzje? Różne kłósie
Twierdzą, że mam wszystko
w nosie.

Moja trzódka — chytre liski —

ciągle sterczy u mej miski.
Nie przypiekę ja im pięt,
choć już czuję w dloniach swęd.

Aby oddać światom cześć
intonuję swojską pieśń:
„Pokroście mnie, króle, hyzopem
a jako śnieg wybieleję...”

II ODSLONA

(Plac przez szopą opustoszał. Kró-
lowie czegoś wypatrują. I jakby
znaleźli...)

KRÓL TROP

Trzej uczniowie w jednej ławce.
Chwiejnie tam jak na huśtawce.

WODZIREJE (wychodzą z ławki)

— Sesja nam się nie udała,
bo na czterech trzech oblała
Lecz my teraz się nie damy,
bo już czyste lufy mamy.

WODZIREJ I (wychodzi przed po-
zostatych i chojrakuje)

Kiedy dzik przede mną zmyka,
a las niesie jego kwik,
ja na muszkę biorę dzika
i nie żyje już ten dzik.

Gdy decyzja mnie spotyka,
robię wtedy zrzeczny trick.
I w ogóle jej unikam,
bo decyzja to nie dzik.

Zbudowałem drugą Łomżę,
trzeciej chyba już nie zdążę.
Nim w zaszczytach się ogrzeję —
król zza biurka mnie „wywieje”.

OREDOWNIK (ostania własnym cia-
łem Wodzireja I)

Wciąż gotowe nowe treści,
choć już „Afisz” ich nie mieści.
Ktoś je ciacha, miast dopieszczać.
„W tym temacie” furt zamieszcza.

Oj, niejeden by się zlekł —
wiedząc, jakim ścichapek!

A robotama nielicha:
sacze gorycz z władz kielicha,
koję bóle, gniew marsowy —
by mej nie poraził głowy.

Oj, niejeden by się zlekł —
wiedząc, jakim ścichapek!

Z tą kurtyną sam ambaras,
szarpie ją tak wielu naraz:
raz — to opuść, dwa — podtrzymaj,
a kurtyna się zacina.

Oj, niejeden by się zlekł —
wiedząc, jakim ścichapek!

KAGANEK U ŻŁOBU (zapala się
i płonie jasnym blaskiem, wyraźnie
natomiast przygasa, gdy zwróci oczy
na grono aniołków wokół szopy)

Oj, ludzie, ludzie,
co też wy robicie?
Zamiast spać spokojnie —
dzieci wciąż płodzicie.

Choć niejedna głowa
nad tym już myślała,
przy waszej potencji
każda jest za mała.

Wymyślił ktoś zaeny,
że przedszkoli starczy —
wyście plemnikami,
zaczeli frymarezyć!

Szkół i żłobków także
zabraknąć dziś może,
bo kto tylko w siłach,
ten w łóżnicy orze.

Rosną tomy planów

i aktyw się spręży,
więc i ty, kobieto,
przepędź z łóżka męża.

Przepędź jak najszybciej,
z decyzją nie zwlekaj —
nie będziesz mieć dzieci,
a aktyw przeczekaj.

PRZYSZŁOŚCIOWY (cały czas wy-
rywający się do wypowiedzi zza
pleców WODZIREJÓW)

Nic nie zrobię — wszystko spełnię,
bo nadzieję mam w „Bawelnie”.
Jeszcze więcej dać bym mógł,
lecz mnóstwo zawałidróg...

Przed południem w każdy

czwartek

ukazuje się szmatławiec.
Szkoda nań papieru, kartek,
taki to szubrawiec!

Rozwydrzonych typów zgraja
redaguje to piśmidło.

Nic świętego, same jaja.
Wszystkim już obrzydło.

Różne świństwa wyciągają,
diabli wiedzą — w jakim celu.
Za nic osiągnięcia mają.
Nie piszą o wielu.

Papier lichi, kolor czarny
rzeczywistość im przesłania
„Kontaktowy” śmieć koszmarny,
niewarty czytania.



noworoczni

Jakieś „Śpięcia”, reportaże —
komu niby one służą?
Bzdury i głupoty wraże
czytelników nużą

Za tę dychę lepiej kupię
pek witek brzoźowych,
redaktorom skórę złupię
i zatrudnię nowych

HEROD (wchodzi niespodziewa-
nie energicznym krokiem, a wyglą-
da jak postać z zupełnie innego ka-
baretu)

Ja jestem młody Herod,
lecz specjalność mam rzadką:
nie param się niemowlakami,
tylko detronizacją.
Chociaż mam ręce za krótkie
i mleka pod nosem kałużę —
zanim nie zdejmę ważniejszych,
przed żadną przeszkodą nie
stchórzę.

Potem zasiądę na stole,
by sprawiedliwość czynić.
Przyjdzie zdać sprawę z poglądów
każdej miejscowej świni.
Zapłacą mi za bluźnierstwa,
lekceważące nietakty,
wszystkie nadęte żaby,
a przede wszystkim — „Kontakty”!
(Wszystkie osoby udają się prze-
zornie za HERODEM)

III ODSLONA

(Paragraficznym krokiem wchodzi
MAGISTRACKI, a za nim kuca
małe licho, które — niestety — nie
spi)

CHOCHLIK

Urzędnik na urzędzie jak kura
na grzędzie:
raz zagadze, gdy wskoczy, raz —
gdy wyżej siedzie.

MAGISTRACKI

Co tam petent, gdy trzeba wciąż
reprezentować.
Taki zapieprz, że nie ma kiedy
załadować!

CHOCHLIK

A jużci, w tej bieguncie z sesji
na naradę
kto by się tam zapuszczał w
ludzkich sprawach szaradę!

MAGISTRACKI

Nie jestem tutaj po to, by lud
uszcześliwiać,
ale by swą prezencją i słowem
zadziwiał.
Niech każdy robi swoje, jak
najlepiej umie,

brachunki

moja rzecz trwać za biurkiem —
chyba waść rozumie.
(Robi porozumiewawcze „oko” do
licha)

CHOCHLIK

O, tak — doskonale: choćby
wszystko drżało,
niechaj drży i się wali, byle biurko
stało.
Trzeba przepływać gładko wokół
raf niedoli,
bo czy ważne, co kogo? Ważne, co
mnie boli.

MAGISTRACKI

Milcz, siło nieczysta, piekielny
pomioście,
nie mogę pomóc innym, gdy sam
tonę w błocie.
Jedna strona chce prawdy,
posłuszeństwa druga.
Bronić stołka czy racji ma
dwóch panów sługa?

IV ODSŁONA

(Królowie są znużeni)

KRÓL II: — Zajrzyjmy na łęgi
pulwiankie, gdzie krze jeno a ma-
mory. Może przynajmniej tam do-
brze się dzieje?
(Biorą lornetki i co widzą? Wokół
ogniska, suto podsycanego krowim
plackiem, lekko tylko wysuszonym,
siedzą znajome cztery diabły. W po-
bliżu stoi flaszka smołówki, obok
kubek z oderwanym uchem i kilo
kartkowej kiełbasy z kryłem)

BIEBRZAŃSKI: — W gardle za-
schło. Zaczynamy?

SUPRASKI: — Niestety, szanow-
ny kulięgo, dopiero po dwudziestej
czwartej. Kuliedzy! Zebrałem was
tutaj, abyście jednogłośnie wybrali
mnie na przewodniczącego dobro-
wolnego zrzeszenia diabłów.

NARWIAŃSKI: — Dostrzegam
pilną potrzebę powołania organu,
jednak nie widzę żadnych powodów,
dla których akurat wy macie zo-
stać jego szefem.

SUPRASKI: — Jak jest potrzeba,
to i powody się znajdują. Możecie
mnie traktować w charakterze or-
ganu założycielskiego. Wystarczy?

NARWIAŃSKI: — Ja też jestem
organem, i to może jeszcze więk-
szym od was!

BUZAŃSKI: — Koledzy! Po tak
długim czasie naszej wspólnej nie-
obecności podajmy sobie dłonie i
pogadajmy jak diabeł z diabłem!

SUPRASKI: — Słyszycie, kulięgo
Narwiański? Masy diabelskie doma-
gają się pojednania, a wy ciągle w
opozycji do mnie. Podajcie mi rękę
w imię moich poglądów i bądźmy
jedni w wielości naszych przekonań.

NARWIAŃSKI: — Zgoda, ale ja
będę przewodniczącym.

SUPRASKI: — Dobrze, ale w ta-
kim razie ja zostanę szefem całko-
wicie generalnym.

BIEBRZAŃSKI: — Co jest, zno-
wu jakaś czapka?

SUPRASKI: — Kuliego, kto tu
mówi o czapce? Rogi nam wszyst-
kim urosły, żadną czapką ich nie
przykryjesz!

BUZAŃSKI: — To jest właśnie
nasza niezbywalna prawda! Ja zo-
stanę waszym zastępcą. Członka
już mamy w osobie kolegi Biebrzań-
skiego, więc możemy zacząć dzia-
łać.

BIEBRZAŃSKI: — Zgoda. Nale-
wajcie!

SUPRASKI: — Po północy! Usta-
wy nie znacie? Kuliedzy! Otwieram
zebranie i w pierwszym punkcie
ogłaszam, że zostaliśmy wybrani. W
drugim składam serdeczne gratula-
cje kuliędze Narwiańskiemu, który,
mimo niesprzyjających okoliczności,
osiągnął wynik na tak zwaną mia-
rę. Na terenie jego działania dał
się zauważyć ujemny rozkwit w ta-
kich dziedzinach, jak gospodarka
komunalna, budownictwo mieszka-
niowe, higiena i handel. Brawo!

NARWIAŃSKI: — Przez skrom-
ność nie zaprzeczę. W ostatnich cza-
sach robiło się to i owo.

BIEBRZAŃSKI: — W jakich o-
statnich? Odkąd pamiętam, zawsze
mówiło się o tym na naszych na-
radach. Weźcie do ręki stenogramy
drukowane kiedyś w diabelskich
„Kontaktach”!

SUPRASKI: — Napracował się
biedak, aż wyłysiał z nadmierne-
go wysiłku i żeby mu wypadły.
Ruina, nie diabeł.

BIEBRZAŃSKI: — Teren ma do-
bry! Ja, na ten przykład, całą Bie-
rzę prawie już wykończyłem, po-
zatrzymałem, co się dało, kłusowni-
ków namnożyłem, tylko patrzeć, jak
ostatniego kielbisa wyłuszę, i co?
Nikt mnie nawet nie pochwalił.

BUZAŃSKI: — Co racja, to ra-
cja. Kolega Biebrzański całe życie
siedzi w szuwarach, tylek moczy w
wodzie i nikt go tam nie dostrze-
ga. W prawdziwe bagno żadna kontro-
la nie wchodzi.

SUPRASKI: — I was, kulięgo
Biebrzański, kiedyś dostrzeżę. Jed-
nak pamiętajcie o tym, że im póź-
niej, tym lepiej. Najpierw trzeba
zniszczyć rzekę bezpowrotnie, a do-
piero potem się wypić w celu
przypięcia wam różnych medali. I
lepiej nie mówcie teraz o tym głoś-
no, bo jeszcze stworzą przypadkiem
jakiś rezerwat, a was wciągną na
listę zabytków muzealnych. No! w
trzecim punkcie naszego zebrania
musimy podjąć ważną uchwałę.

NARWIAŃSKI: — Zawsze moż-
na, tylko w jakiej sprawie?

SUPRASKI: — W sprawie wy-
stąpienia do Głównej Rady Diabel-
skiej z wnioskiem o odwołanie ko-
legi Narwiańskiego z zajmowanego
stanowiska

NARWIAŃSKI: — Czy ja dobrze
słyszę?

SUPRASKI: — Dobrze słyszycie,
kulięgo. Tutaj się już sprawdziliście
i trzeba dać wam kolejną szansę.

NARWIAŃSKI: — Nie bardzo mi
się to podoba, ale, na wszelki wy-
padek, serdecznie dziękuję.

BIEBRZAŃSKI: — My tu sobie
gadamy o różnych duperelach, a
tymczasem minęła północ. W górę
serca!

SUPRASKI: — Chwileczkę. Nie
wiecie, że w pracy nie wolno? Za-
mykam zebranie. Teraz polewajcie!

V ODSŁONA

(Nad szopą pojawiają się dwa du-
chy, i to dobrze nam znane)

EXY (śpiewają, lecz czemuś niewe-
solo)

Byliśmy obaj chłopcy na schwał —
do walki i biesiady.

Każdy z nas wszystkim radę dał,
gdy już nie było rady.

Znaliśmy tutaj każdy bród
i mielizn na tysiące,
lecz każdy z nas miał suchy but
i zdrowie. I własne słońce.

Każdy z nas kompetentny był
w tym, czym tu zawiadował.
Opadł nam z butów Łomży pył —
gród się skompromitował.

Dziś z odległości widać, że
ktoś spał nam robotę —
król o kulturze mówił źle,
handel obrzucił błotem.

Oby to tylko tyle zła
następcy zmajstrowali!
Serce nam mówi: „Wracać trza”.
Rozum: „Oj, byle dalej!”

(EXY dostojnie się rozpluwają w
powietrzu, za to tłumnie wybiega-
ją WŁODARZE i WODZIREJE, aby
zatrzeć swąd pozostawiony przez
EX-ów bilansującym „Hymnem kad-
rowym”)

WŁODARZE i WODZIREJE

Wojewodowie —
klan śmiałych i wybranych!
Miał ojcowie —
elita uwielbianych!
Naczelnicy —
zbiór bożych pomazańców,
męczenników,
pupilów i wybrańców!
Dyrektorzy —
zespół sekciarzy dzielnych,
sprawiedliwych,
karnych i miłosiernych.
Wiernych sobie —



i jeszcze paru wielkim.
Bliskich celu —
gdyby nie ci cholerni obywateli
i obywatelki!

(Znużeni Królowie przerywają tę
podszopkową paradę sił i dokonają,
po czym dostają sumarycznych ref-
leksji)

KRÓL GOT

Był ważny, lecz nigdy nikt o tym
nie wiedział.

Był smętny, bo dziurę w fotelu
wysiedział.

Był tegi. Czym spał się? Ciężkimi
myślami.

Był chętny — do czynu?

Nie, spotkań z kumplami!
Był sprytny, bo nigdy decyzji nie
wydał.

Był mądry — bez zgody głowy nie
wychylał.

Był łatwy — pozwolił, by nim
kierowano

Był gładki, bo tak go już raz
uczesano

Był czysty — nie lubił ignać
do motłochu.

Był skromny — brał z każdej okazji
po trochu.

Był głupi, co nigdy mądryemu nie
wadzi!

KRÓL TROP

Był? Chyba jest jeszcze. Powtórkę
bym radził!

(Podstuchiwał KRÓLÓW WIELKI
BUDOWNICZY. Gdy tylko wyszli,
postanowił dać nogę)



BUDOWNICZY

Tylko jedna droga wolna.
Do Urzędu? Nie! Do Kolna.
Chociaż cicho tam i głucho,
wróć doń jak żołnierz z lufą!
(Licho, dotąd przyczajone, przymru-
żyło złośliwie ślepię i poszło w zna-
jomy rym)

CHOCHLIK

Stoi u szopy alternatywa,
widmo przeszłości gdzieś ją porywa
— zła perspektywa.

Stoi i dmucha, stoi i snuje,
tłum gapowiczów ją okupuje
i do snu wzywa.

Znów zadań na nią ponakładali,
wielkich i ciężkich, a rad nie dali,
choć grunt się pali.

Więc może umknąć pytań pogoni,
by już nie słuchać ich mdłej
symfonii?

Oj, byle dalej!

(Głupim chichotem Licho zbudziło
DZIECIĄTKO w szopie. Małeństwo
uniosło główkę i rozejrzało się —
mocno zdziwione)

DZIECIĄTKO

Ktoś coś gadał? Ktoś tu był?
Czy też mi się tylko śnił...



„Raskolnikow wziął siekierę
i zamyslił się głęboko
Księżyc tylną spoza chmury
Jak lichwiarki żółte oko
Nie ma żartów z filozofią
Moja ty Pietrowna Zofio...”
(Andrzej Garczarek)

Niewiele wiemy o systemach filozoficznych ludzi dalekiego Wschodu, którzy myślą całym innym kategoriami niż my. Wszystkie nasze filozofie, zarówno idealistyczne, jak i materialistyczne, w gruncie rzeczy są do siebie podobne i — z grubsza biorąc — zakładają konieczność poznania otaczającego nas świata, czy to przez dogłębne zrozumienie rządzących nim praw, czy istoty wszechpotężnej siły nieśmiertelnego Boga. W tym właśnie upatrują one sens ludzkiego bytu, bytu człowieka, jedynej istoty rozumnej. Najnowsze badania wskazują jednak, że trzeba nam będzie rozstać się z tą myślą, bo nie jesteśmy czymś zupełnie wyjątkowym. Postępowanie nierozumnych bydląt nie da się już dzisiaj tłumaczyć samym tylko, wrodzonym im podobno, instynktem. Postawione w pewnych precedensowych sytuacjach wykazują często zdumiewającą wręcz roztropność, czynią tak, że sami byśmy inaczej nie uczynili. To zrozumiałe, iż człowiek z naszego kręgu kultury, król i pan wszelkiego stworzenia, całej materii ożywionej, takie myśli niechętnie do siebie dopuszcza. Gdyby uznał w zwierzętach bliźnich, jego świat musiałby ulec całkowitemu przewartościowaniu.

Niektóre filozofie Wschodu i tym różnią od naszych, że zwierzęta traktują odmiennie, prawie po partnersku. Można mieć sceptyczny stosunek do wiary w reinkarnację połączonej z wędrówką dusz, jeśli — oczywiście — przyjmujemy, że dusza w ogóle istnieje, jednak przyznać trzeba, że takie widzenie świata nie się ze sobą ogromne i niekonieczne negatywne konsekwencje, z których najważniejsze jest odrzucenie homocentryzmu. Człowiek nie jest

temat na długie świąteczne wieczory

pepkiem świata i stąd też sens ludzkiego bytu filozofie te kierują do wewnątrz, rezygnując z ekspansji, koncentrując się na całkowitej niepowtarzalności każdego istnienia z osobna.

Najciekawszym, i niewątpliwie najmłodszym ostatnio w Europie i obu Amerykach, jest system filozofii Zen (czyt. Dzen). System ten, bo przecież trudno nazywać religią coś, co w swoich założeniach wyklucza istnienie jakiegokolwiek siły wyższej, powstał nie w Indiach i już w okresie Nara, był niejako w opozycji do oficjalnego budyzmu. Nawiasem mówiąc w Chinach nie wykształcił się nigdy żadna religia w europejskim tego słowa znaczeniu. Zen współczesny sięga do tych właśnie najdawniejszych tradycji. Odrzucając wszelkie sakralne formuły i rytuały, zakłada, że oświecenie (*satori*) może nastąpić jedynie przez wczucie się w sedno sprawy na drodze intuicji, to zaś z kolei można osiągnąć tylko z pomocą cichej medytacji i kontemplacji. Pachnie to wszystkim mistycyzmem, jednak pewne aspekty zenowskiej prawdy mają charakter niewątpliwie praktyczny. Na przy-

kład uczą, w jaki sposób można pozbyć się stresów właściwych każdemu rozumnemu życiu. Kiedyś słowo „stres” nie było znane, ale problemy — jak widać — od wieków mamy takie same, zaś lekarstwem skutecznie działającym na te właśnie problemy jest sztuka myślenia chwila.

W istocie większość naszych myśli

klebiących się pod czaszką, zwłaszcza podczas wypoczynku, dotyczy tego, co było lub będzie. Myśląc o przeszłości zazwyczaj czynimy sobie wyrzuty, rozpamiętujemy niekorzystne sytuacje, w jakich znaleźliśmy się przez własną głupotę, bądź w wyniku nieprzewidywanych a możliwych do przewidzenia sytuacji, powtarzamy wypowiedziane zdanie, które teraz chcielibyśmy powiedzieć zupełnie inaczej, analizując błędne postępowanie, ktok po kroku. Słowem: rozszepiamy włos na czworo, z czego nie nam zwykle nie przychodzi, poza zwiększeniem dawki czynników powodujących frustrację. Z kolei myśląc o przyszłości widzimy ją przeważnie w czarnych kolorach. Sprawy, jakie mamy załatwić, zdają się nam praktycznie nie do pokonania, ciężar życia zbyt wielki, aby mogły mu poddać nasze wątłe barki. Myślenie chwilą zdarza się nam bardzo rzadko, zwykle na przeciąg ułamka sekundy i tylko w towarzystwie innych osób. Nie jest to jednak myślenie samodzielne i jako takie nie prowadzi do wewnętrznego samoczyszczenia, bo w gruncie rzeczy o to w tym wszystkim chodzi. Tak przynajmniej twierdzą praktycy Zen. Wedle ich opinii wystarczy parę razy dziennie kilka minut poświęcić się tego nauczyć i jak ćwiczyć na takie myślenie i już się jest zu-

pełnie innym człowiekiem. Zyskuje się dystans do własnych poczyną, mija lęk, znikają stresy i frustracje.

Inna rzecz, że właściwie nie bardzo wiadomo, w jaki sposób można się tego nauczyć i jak ćwiczyć umysł, aby na zawołanie osiągnąć „błogosławiony stan spokoju i próżni w umyśle”. Nie jest to przy tym próżnia bezmyślna. Nakazanie sobie samemu zatrzymania wszelkich procesów myślowych, bo właśnie na tym ma polegać myślenie chwilą, przypomina w pewnym sensie stan duchowej katepsji. W kompletnej pustce żarzy się niska isierka — oto jestem ja, tylko ja i niczego poza mną nie ma. Nie było wczoraj, nie będzie jutro, nie się nigdy nie zdarzyło, sam stanowią własne centrum, jestem tylko samą świadomością swojego istnienia, która o tym wie bez myślenia. Zawieszona w próżni, pozbawiona ciała i uczucia, głucha, niema i ślepa. Podobno stan ten można osiągnąć praktykując kontemplację (*zazen* — siedząca kontemplacja), jednak mistrz naucza tylko postaw i podaje tematy (*kon*), na których uczeń musi się koncentrować. Trzeba nauczyć się najpierw myśleć o jednym, aby umieć myśleć o niczym. Mistrz nie mówi, w jaki sposób to robić, ponieważ jedna z fundamentalnych reguł Zen głosi: „Kto wie — nie mówi, kto mówi — ten niczego nie wie”. Każdy sam musi dojść do prawdy.

Może to wszystko jest zwyczajnym szalbierstwem, ciemnotą wciśniętą w ludzkie głowy przez garstkę nawiedzonych, a może tkwi w tym jakaś głęboka prawda. Nasze ekspansywne systemy filozoficzne stworzyły wspaniałą cywilizację i proszę, dokąd to dzisiaj zmierzamy? Ciekawe, jak długo jeszcze dane nam będzie kroczyć po czymś, co przypomina coraz bardziej równię pochyłą...

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

Na początku było... jedzenie i picie. Nie przypadkiem chyba najstarszymi zapisanymi słowami słowiańskimi są: „strawa” i „miód” — to ostatnie jako nazwa trunku pitego przez Słowian za czasów Attyli. Pragnienie, zwane przez prapolską ludność „pragą” lub „smagą”, gaszono jednak głównie piwem, którego nazwa od picia się wywodzi. Najprymitywniejsza technologia jego otrzymywania to — warzenie zboża z dodatkiem drożdży w naczyniu z kory. Woda zagotowywała się dzięki wrzucaniu do

niej rozżarzonym kamieniom. Celtycka licencja polegała na zalewaniu wrzątkiem siodu, z czego otrzymywano tzw. brzeczke piwną. Słowianom z kolei zawdzięcza Europa chmielenie piwa, notabene podpatrzono u odległych wschodnich sąsiadów. Słabszym od piwa napojem alkoholowym był kwas chlebowy, a skutecznie upajającym trunkiem wspomniany miód, sycony wodą. Całe prapolskie plemię warzyło piwo i syciło miód we własnych domostwach, a karczmarze — na użytek gości.

Chrześcijaństwo przyniosło z sobą wino, a właściwie winną kulturę, gdyż sam napój, sprowadzany czasem z południa, był już znany. Duchowieństwo jednak miast ponosić pokasne koszty importu, wołało je dla celów mszalnych produkować na miejscu.

Z czasem w winie rozsmakowali się i inni, a niektórzy pragnienie gasili tak zapamiętałe, że rozniecało to w nich wewnętrzny pożar. Jako że ludzie potrafili zawsze do swych słabości dorobić odpowiednią ideologię, twierdzono, że „zdrowe” podjadanie i popijanie nie jest tylko

ska „razówka”, na którą szybko odkurzone recepturę. Są zresztą i takie rejon, gdzie nigdy nie poszła ona w zapomnienie.

Białostocznina — jak sięgnąć pamięcią — zawsze stanowiła tradycyjne zagłębie bimbrownicze. „Za Niemca” kto mógł wymieniał bimbier za kielbasę, cukier czy czekoladę, ale też za spartaczony czy rozwodniony — niejedną poszedł do piachu. Rosjanie też nie gardzili tym trunkiem, ale na ogół mieli podniebienie mniej wyrafinowane od Niemców i zadowalali się tzw. pierwszym rzutem, jeszcze nie przedestylowa-

słowo o picciu

symptomem, ale i przyczyną zdrowia, a wszelkie obfitości stołu wręcz zalecano jako najskuteczniejszy środek pobudzający „małżeński uczynek”, powodujący „jurność”, „wzruszenie Wenusa” i „chciwość ku niewieście”.

Przed wstrzemięźliwością, nie czytających poezji mężów, ostrzegali również popularne przysłowia: „Miłość o. głódzie, a kopia bez żelca nic nie warte”, „Zaloty nie smakują, gdy postu czasu panują, zła miłość bowiem o głódzie — nie chce się i wojewodzie”. Te mądrości ludowe nie tylko przetrwały wieki, ale generalnie zostały wzmocnione autorytetem naukowców, a liczebność i siła narodu polskiego przysłały im waloru historycznego. Dopiero polska rzeczywistość kartkowa wczesnych lat osiemdziesiątych zdawała się zadawać kłam odwiecznym prawdom: po zimie 1981/82, gdy wprowadzono reglamentację mięsa, tłuszczów, słodczy, alkoholu i wszelakich używek, urodziło się więcej dzieci niż w poprzednich latach względnego dobrobytu. Względnie, lecz nie limitowanego. Ograniczenia te nie skazywały na głód, tylko na „nader rozsądne” spożywanie dóbr, do czego jednak nie byliśmy przyzwyczajeni, a co istotniejsze — przyzwyczaić się nie chcieliśmy. I choć kartki na wodkę i mięswo w wielu wywołały nieutulony żal, to wszelakoż nie tak wielki, by mieli uisnąć, zapłakać i uwierzyć, że zsiadłe mleko jest naprawdę pożywniejsze i smaczniejsze od żytniówki. Wystarczyło pogłównować i wrócić do źródeł, czyli na wieś, gdzie rodzi się żyto, a z niego świnia i żytniówka, bądź swoj-

nym, lecz już dobrze piekącym w gardło.

Dobra passa bimbrowników utrzymała się i po wojnie. Trzeba było się odbudowywać, a przecież najlepszym środkiem płatniczym razem była właśnie samogonka. Dzięki słabej jeszcze konkurencji państwowego monopolu odbudowywały się nie tylko wsie, ale i miasteczka. Późniejszy wzrost dobrobytu oraz ustawa z 1959 roku zahamowały nieco to zjawisko, ale tradycyjne oazy bimbrownicze oparły się modom i przeszkodom. I słusznie, co potwierdziła utrzymująca się w ostatnich latach alkoholowa moda retro. Ze statystyk bowiem wynika, że spożycie alkoholu spadło w 1983 r. z 8,1 do 6,5 litra spirytusu na głowę, lecz wystarczy znać, choćby powierzchownie, społeczne życie, by nie dać się zwieść tym; z gruntu optymistycznym, liczbom. Tym bardziej że z szacunkowych materiałów MO wynika, iż statystyczny Polak wypija około 2 litrów bimbru rocznie. Gdyby tak było, państwowy monopol traciłby na tym około 90 miliardów złotych rocznie. I coś w tym musi być, skoro dyrektor naczelny „Polmosu”, Lucjan Pyzik, po peanie na cześć własnych wyrobów na łamach „Życia Literackiego”, zaatakował bimbier jako trunek szkodliwy dla zdrowia, a nawet narkotyczny. Nie wiem, jak się skończy konkurencja złego ze złym, ale wygra pewnie tańsze zło. I chociaż to nieładnie zaglądać do cudzych kieliszków, zalecam wszystkim nie tyle zdrowe picie, choćby nawet koniaków, co spożywanie dóbr wszelkich z umiarem.

KAROLINA

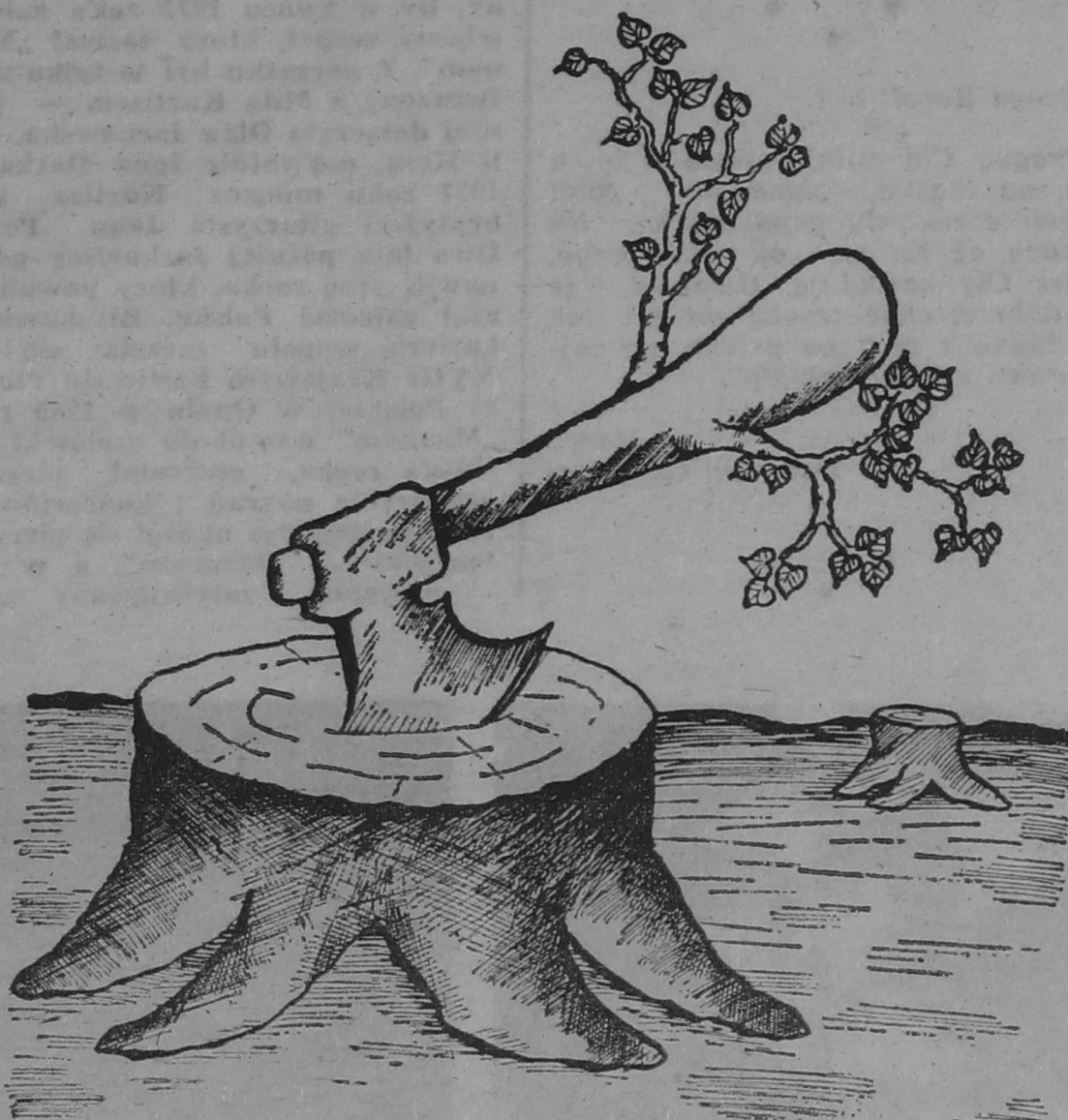
refleksje



Podulka

Rys. Andrzeja Podulki

tajemnica czarnego wilkołaka



Rys. Waldemara Rukścia

Najpierw zaczęły w okolicy ginać kury. Ludzie narzekali, ale wiadomo: ludzie zawsze narzekają, jak nie na zaopatrzenie, to na program telewizyjny; taka ich malkontencka natura. Zresztą wiadomo było, że szczególnie rozmnożyły się w tym roku lisy, więc od razu na nie padło posądzenie. Trzeba dokładniej zamykać kurniki, a najlepiej psa leniucha wypędzić z przypiecka na noc na podwórze. Jakiś czas był spokój, ale niedługo — świnię poczęły chudnąć. „Co to może być? — głowili się hodowcy. — Zreć dostają prawie jak ludzie, czyli dobrze, bo ogólnie stopa podniosła się dość wysoko, ciepło mają i w gnojownicy nie stoja.”

Nie udało się rozwiązać tej kwestii do końca, gdy gruchnęła wiadomość, że z krowami coś złego się stało. Powiedzieliśmy sobie: dość tego, musimy sprawę wysłuchiwać. Chociaż nasza wieś leży na bagnach, otoczona jest lasami, i do miasteczka mamy dość daleko, jednak napatrzyliśmy się w telewizorach na Templera, Lupina i Colomba, więc i wiemy, jak się do śledztwa zabrać.

Sprzyjającą okolicznością było to, że wszystkie nasze krówki przebywały zawsze razem na pastwisku pod opieką przygłupiego Łukasza. Spytałismy go jak człowieka, czy czego nie zauważył, ale jak z takim kołtunem gadać! Porozumieć się z nim trudno, buja zawsze w obłokach, nie bardzo wie, co się dookoła dzieje. Wyjaśnił, że wylazło z lasu coś takiego długiego i czarnego.

— Na pewno wilkołak — powiedział weterynarz, który zawsze miał racjonalne podejście do życia, za co go najbardziej ceniliśmy, bo poza tym był to szuja i łapownik.

Ledwo wyrzekł swoją opinię, mróz przeszedł mi po krzyżu i od razu przypomniałem sobie z dzieciństwa opowieści mojej babki, która szarą godziną lubiła opowiadać o strzygach, wampirach i rusałkach. Wprawdzie wiązała te strachy z litewskimi rojstami, ale kto wie, czy nie mogło to towarzysztwo przenieść się nad Narew.

A tymczasem Łukasz powiedział: — Chyba to był jakiś pociąg, ale taki więcej niedzisiejszy.

— Nic nie madrzejesz — zezłościł się soltys. — Skąd tu pociąg u nas, trzydzieści kilometrów od koleji? Przypnij się zaraz, żeś znowu zaczytał w tych, jak im tam, klasykach czy innych futurystach. Durnowaty, ot co. Przecież każdy

wie, że gadzina chudnie, bo wilkołak krew wysysał!

Rozeszliśmy się z niczym, ale słowa o Złym utkwiły w nas jaśniej. Po zmroku za stodołę przestaliśmy wychodzić. A odkąd gajowy powiedział, że słyszy w lesie dziwne sapanie i straszne wycie, przestaliśmy chodzić i do lasu. Nawet za dnia.

Tylko ta Helka soltysowa! Zawsze z nią były kłopoty. Czegoś chciała, a sama nie wiedziała, czego; w osmętnicę jakąś wpadała,

popatrywała gdzieś w dal. Ożywiła się, gdy nastał nowy agronom — przystojny, chociaż golec i przez to soltys słyszeć o nim nie chciał, bo przewidujący był i wiedział, że córa tylko czeka, by komus dać serce albo i coś więcej. Soltys miał ją na oku, ale kto tam dziewczuchę upilnuje; łatwiej wiatr utrzymać na miejscu. Wieczorem wymykała się niby to do sadu za domem, żeby przed snem w gwiazdy popatrzeć, a w rzeczywistości do lasu biegła, gdzie pod olszyną cze-

stała jęczać i patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Nie mógł znieść tego wzroku. Okrwawionym kulakiem uderzył ją w usta, ścigał wisiór przez głowę i, kuśtykając, oddalił się.

★

Zgarnął łupy ze stołu i zaniósł do skrytki, znajdującej się między fundamentami. Był tam pekaty worek; zegarków, biżuterii i pieniędzy — owoc jego całego życia. Objeżdżał dokładnie wisiór i z przekleństwem rzucił na podłogę. Okazał się niedną imitacją.

Prawdziwy sentyment poczuł do ręki. Tak mu się podobała, iż nie zdejmując pierścionków, położył ją na najbardziej eksponowanym miejscu mieszkania — rozwidleniu rur kanalizacyjnych.

Projektanci nie planowali zamieszkania tej piwnicy, ale ów defekt w postaci braku urządzeń

hiena

sanitarnych w niczym mu nie przeszkadzała. Nie mył się od lat i bynajmniej tego nie pragnął. Gdy za bardzo dokuczały mu wszy lub bezkarnie rojące się pluskwy, wypijał więcej niż zazwyczaj denaturatu i — nieprzytomny — zwał się na barłóg.

Rankiem poszedł po porzucony wór z butelkami. Nie mógł tam się dostać, gdyż akcja ratunkowa jeszcze trwała. Skierował się w stronę małego cmentarza, na którym lokalne lumpe urządzały często popijawę. Spokój, jaki panował tam w godzinach popołudniowych, zmniejszał szansę obudzenia się w izbie wytrzeźwień. Ale widocznie wczorajszy wypadek wpłynął na zmniejszenie spożycia alkoholu,

gdyż znalazł jedynie dwie flaszki po winie. Zamierzał już wyjść, gdy zobaczył wchodzący kondukt pogrzebowy. Lubił te uroczystości. Począł, iż idący zwrócić się z nim, i dołączył do grupy postępującej za trumną. Tuż przed włożeniem ciała otworzył ją na moment i wówczas zobaczył na ręce zmarłego obrączkę. Zdumiał się: a więc to tak? Kopalnia złota znajduje się obok, a on całymi dniami chodzi i zbiera butelki!

Podszedł do wysypiska śmieci, gdzie zaopatrzył się w zastrzyżony pret i złamaną łopate, po czym wrócił do domu, napił się denaturatu i położył spać. Obudziło go gwałtowne uderzenie fali deszczu o zalepioną plastrami szybę. Była ciemna noc. Pomiędzy pomrukami grzmotów odległej burzy usłyszał dwanaście uderzeń kościelnego zegara. Wyjrzał przez brudne, umieszczone tuż nad ziemią, okienko. Pogoda była straszna, lecz miała tę dobrą stronę, iż trzymała ludzi w domach. Okrył się płaszczem, naciągnął stare kalosze i wyszedł w ciemność.

Na cmentarzu, w scenerii nagich drzew, szeregi grobów zapraszająco wyciągały ramiona krzyży. Trafił na miejsce bezbłędnie. Odsunął wiązanki kwiatów, i choć mokra gлина lepiła się do łopaty, szybko odsłonił krypte. Wystarczyło kilka uderzeń łomem, by cegły wpadły do środka. Zszedł na dół i chwycił wieko trumny. Pokrywa lekko uniosła się i opadła z trzaskiem. Resztki włosów zjeżyły mu się ze strachu. Chciał już uciec, gdy uświadomił sobie, iż stojąc na wieku uniemożliwia podniesienie go. Położył się na usypisku i spuścił ręce. Poszło gładko. Oparł pokrywę trumny o bok grobu i namacał ciało. Po ściągnięciu obrączki przeszukał kieszenie. Nie było w nich niczego. Zagrzebał nogą niedbale grób i wrócił do domu.

kał agronom — jakby Filon jaki. I nikt by się niczego nie domyślił, gdyby ona sama nie przybiegła, krzycząc z daleka z przerażenia: — Widziałam ją, ona tam jest!

— Kto? — pytał soltys, ale Helka omdlała, a potem zaniemogła na dłużej i baliśmy się z nią mówić o przykrych sprawach.

— Panowie, tego już za dużo! Radźcie, co robić — powiedział soltys.

Agronom, robiwszy dobrą minę do złej gry, powiedział, że to musi być strzyga, a uspokoił się, jak jej damy jaką dziewczę, z której mogłaby wysać trochę krwi. Weterynarz zaczął powatpiewać, czy są jeszcze we wsi jakieś dziewczę, ale umilkł, gdy soltys zgromił go wzrokiem, a agronom też stropił się (nie wiedzieć czemu) i nie odzywał się więcej.

Stało w końcu na tym, że podrzucił się dobrą przynętą, wykopał dół na pułapkę, a my wszyscy — z widłami i drągami — będziemy czatować w ukryciu. Pierwszej nocy nie pokazało się nic, drugiej też nic się nie zdarzyło, gdyby nie liść wilka, który chwycił młynarza, gdy ten na zimnym kamieniu przysiadł. Ledwie trzecia noc zapadła, usłyszeliśmy jakieś szelesty. Coś się zbliżało. Zrobiło mi się zimno, a potem gorąco. To Coś szło — ciężko, powoli, rozważnie jakby. Księżyc oświecał polanę, wokół której ukryliśmy się, zając, że jesteśmy tu, a nie gdzieś w wiek indziej. Tymczasem rozległo straszne sapanie i za chwilę pokazało się...

— Przecież to moja kolejka! — wrzasnął Wawrzon.

Poznaliśmy lokomotywkę wąskotorowej kolejki z naszego tartaku, która przepadła jak kamień w wodę tak jakiś rok temu.

— Ucieka, gonić ją! — krzyczał soltys. Ale gdzie tam. Poszła... Tylko dym po niej rozwiewał się powoli.

— Widzieliście coś podobnego — jęczał Wawrzon — jak ona zdiszczala w tym lesie. I o co jej mogło pójść, przecie obchodziłem się z nią jak należy.

— Zdaje się, że ona będzie mieć młode — powiedział weterynarz — lepiej dać jej teraz spokój.

Spojrzelismy na niego, ale nie powiedzieliśmy nic, bo choć jest on szuja, to jednak na swoim fachu się zna. Tylko ja zacząłem się zastanawiać, z kim te młode i co jeszcze z tego wyniknie.

KRZYSZTOF
PIETRASZKIEWICZ

★

Wieczorem chwycił mróz. Odczekał, aż znikną przechodnie, i zaopatrzywszy się w dodatkowe narzędzia, ruszył na cmentarz. Było bardzo jasno. Księżyc pokrywał srebrzystą poświatą puste alejki. Hiena denerwował się. Kilka razy chciał już zawrócić, lecz chciwość wzięła górę — w ostatnich dniach prawie niczego nie znalazł. Stał przed kapliczką. Włożył łom w ogniwo łańcucha wiszącego na zbutwiałych drzwiach i przekręcił. Droga do skarbow stanała otworem. Oświecił latarką brzozy płyty. Pośrodku zauważył coś w rodzaju zawiasu. Podważył go i struchlał: ciężki blok kamienny, skrzypiąc niemiłosiernie, zaczął się podnosić. Osiemnastowieczni konstruktorzy nie fuszowali roboty: 250-letni mechanizm sprężynowy działał bez zakłóceń. Hiena przetarł oczy. Tuż obok jego stóp rozpoczynały się stopnie prowadzące do podziemi. Na spodzie widać było leżące w nieładzie kości, pomiędzy którymi coś wyraźnie błyszczało. W takim cudownym grobowcu mogło być tylko złoto! Dla pewności, by go nikt nie zaskoczył, jak będzie myszkował na dole, złożył łańcuch uniemożliwiający otwarcie kapliczki od zewnątrz.

Z bijącym sercem zszedł do środka. Rozczarował się: to, co wziął za złoto, było szkłem z rozbitego znicza. A może skarby są ukryte pod ceglami? Oświecił je. W jednym miejscu dwie równoległe szczeliny biegiły niezależnie od spójnienia wapna. Włożył w jedną kołnierz łomu.

Drgnęła nie tylko ściana, lecz również wisząca nad głową płyta. Z upiornym skrzypnięciem osiadła w — dopasowanym do jej krawędzi — łożu.

WOJCIECH JANOTA

niesamowitość i sensacja





Kora pracowała kiedyś jako terapeutka w ośrodku dla dzieci psychicznie upośledzonych. Mimo że jest jedną z najpopularniejszych kobiet w Polsce — nie zapominała o swojej pracy. Na koncertach rockowych zjawia się wprawdzie zdrowa młodzież, ale jest w nich jednak coś z terapii. Zarówno dla jednej, jak i drugiej strony. Kora chce opiekować się innymi — nawet gdy stoi na estradzie, młodzież zaś potrzebuje na takim koncercie kogoś, w kogo wierzy, kto potrafi pokierować jej emocjami i zachowaniem.

Z WYWIADÓW KORY (I)

— Co to jest sława?

KORA: — To zjawisko fascynujące ludzi od tysiącleci. Być sławnym oznacza istnieć dla bardzo wielu osób jako osoba im bliska, realna i potrzebna.

— Czy to, że istniejesz w sercach innych ludzi, nie okrada Cię z Twego istnienia? Jaka jest cena sławy?

cie „Maanam”: „Takie wokalistki jak Siouxsie czy też Toyah są w porównaniu z Korą martwymi lalkami”.

FANI LISTY PISZA (I)

Szanowna Pani Koro!

Czy lubi Pani pyzy? Pytam, ponieważ sama za nimi przepadam...
Agata

* *

Droga Koro!

Pragnę Cię poinformować, że u nas, na Śląsku, „Maanam” pobili wszelkie rekordy popularności. Na ulicach aż roi się od dziewczyn, które Cię naśladują. Uważam, że to dobrze, choć trochę mi ich żal, bo żadna z nich na pewno nie zajdzie tak wysoko jak Ty...

Marek
z Dąbrowy Górniczej

* *

do radia i telewizji z prośbą o ich przekazanie.

Wszystko zaczęło się w 1975 roku za sprawą Marka Jackowskiego. Urodzony w 1946 roku, anglista z wykształcenia, swoją karierę — jako muzyk — rozpoczął w latach sześćdziesiątych w zespole „Vox Gentis”, a potem zdobył rozgłos jako gitarzysta grupy „Anawa” i tría „Ossjan”. Przez pewien czas pracował jako dziennikarz muzyczny, by w końcu 1975 roku założyć własny zespół, który nazwał „Maanam”. Z początku był to tylko duet, tworzony z Milo Kurtisem — później dołączyła Olga Jackowska, czyli Kora, prywatnie żona Marka. W 1977 roku miejsce Kurtisa zajął brytyjski gitarzysta John Porter. Dwa lata później Jackowscy postanowili grać rocka, który powoli zaczął zalewać Polskę. Błyskawiczna kariera zespołu zaczęła się na XVIII Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w 1980 roku. „Maanam” wszedł do czołówki polskiego rocka, otrzymał pierwsze propozycje nagrań i koncertów. W roku następnym ukazał się pierwszy longplay — „Maanam”, a w 1982 — następny, zatytułowany „O!”.

fascynują naszym zespołem. Sama fascynacja to też dużo... Dostaję mnóstwo listów, kwiatów, wiem, że jestem popularna. Czy jestem rzeczywiście idolem — nie wiem. Prowadzę normalne życie, mam tylko więcej obowiązków. Myślę, że mam inny stosunek do tego, co robiły „Czerwone Gitary” czy Niemen. Dojrzałszy. Wszystko, co robię, wynika z wewnętrznej potrzeby

FANI LISTY PISZA (II)

Szanowna Pani Koro!

Mieszkam na wsi, gdzie jedyną rozrywką jest radio i telewizor. Widziałam Panią kilka razy w telewizji, ale za rzadko się Pani tam pojawia, więc piszę i proszę, żeby chociaż raz na tydzień ukazała się Pani na ekranie. Jak Edyta Wojteżak czy Krystyna Loska. Słucham Pani piosenek i nieraz płaczę, bo są takie jak moje życie — smutne i jeszcze raz smutne...

Katarzyna z Malowanej Góry

P.S. Czy może mi Pani przysłać swoje zdjęcie z podpisem. Znaczek i kopertę załączam.

CZY LUBI PANI PYZY?



— W ten sam sposób istnieją w sercach innych ludzi aktorzy, piosenkarze, poeci, muzycy; ci, którzy przez swoją twórczość wkradają się w życie innych. Należałoby się zastanowić, jak to się odbija na życiu prywatnym. Gdybym chciała być z tymi wszystkimi ludźmi, którzy chcą być ze mną, chcą mnie dotknąć, podzielić się swoimi problemami — a przecież tych ludzi jest tak wielu — stałoby się to niebezpieczne.

— W jaki sposób sława zmieniła Twoje życie?

— Nie czuję tego. Zmieniła je natomiast praca, jaką wykonuję. Od kilku lat ponoszę odpowiedzialność, której nie zna przeciętny człowiek. Rezultatem tego są stresy, które zawsze towarzyszą sławie i popularności. Są to rzeczy, z którymi trzeba umieć sobie dawać radę.

Boska Kora, tak nazywają ją w listach fani. Skupia w sobie trzy podstawowe walory: elektryzujący mocny głos, dobre poetyckie teksty oraz osobowość, która przyciąga jak magnes. Nie więc dziwnego, że pewien holenderski dziennikarz napisał po koncer-

Najdroższa Koro!

Mam dopiero 16 lat i przeżywam pierwszą miłość. Nie śmiej się ze mnie, ale tą miłością jesteś Ty. Czy możesz mi przysłać zdjęcie i list. Pokażę go moim kolegom, to może przestaną się wreszcie ze mnie śmiać. Wiem, że masz męża i dzieci, ale coś mogę poradzić na moje uczucia...

Czarek z Koszalina

* *

Kochana Koro — moja Miss Świata, szalowa rockmanko!

Uważam, że jako zjawisko muzyczne grupa „Maanam” jest na polskim gruncie czymś całkowicie nowym, niepowtarzalnym. Moje jedyne marzenie to poznać Was osobiście. Wiem, że jesteś matką dwojga dzieci — cudowną matką i żoną...

Magdalena z Łabiszyna

Tysiące takich listów trafiają codziennie do wokalistki najpopularniejszego w Polsce zespołu rockowego. Młodzi ludzie piszą je na adres domowy piosenkarki,

bardziej urozmaicony i potwierdzający, że grupa potrafi oferować nie tylko namiastkę „nowej fali”, ale też coś więcej. Każdy miesiąc przynosił nowe przeboje, które zwykle plasowały się na pierwszych miejscach krajowych list przebojów. Zespół nakręcił pierwsze swoje filmy, koncertował w Europie Zachodniej.

Z WYWIADÓW KORY (III)

— Doskonale radzę sobie z moją popularnością, którą traktuję bardzo szczerze. Gdy wyczuwam fałsz, natychmiast się odwracam. Jestem inna na estradzie niż dawniej, inna — bo szybko się nudzę. Zmieniłam fryzurę i nie boję się, że komuś mogłoby się to nie spodobać. Estrada jest po to, żeby ciągle pokazywać coś nowego i ubolewam nad tym, że nie mam więcej strojów... Chciałabym być coraz lepszą i tak się dzieje. Jeżeli człowiek pracuje nad sobą, musi być coraz lepszy, oczywiście, jeżeli ma odrobinę talentu. Kiedyś myślałam że najlepsza publiczność to studenci. Teraz najbardziej lubię publiczność czternasto-, piętnastoletnią. To nieważne, że nie rozumieją niektórych moich tekstów. Piszą do mnie, że się w nich odnajdują. I

* *

Kochana Koro!

Mam 17 lat, jestem szczupła, mam ciemne włosy, mierzę 160 cm. Koleżanki mówią, że mam ładny głos i namawiają mnie, bym została piosenkarką. Umieję wszystkie Twoje piosenki i chciałabym być taka jak Ty. Poradź mi, jak można najtaniej uszyć takie szalowe ciuchy i gdzie zrobić sobie taką fryzurę. Chciałabym z Tobą na te wszystkie tematy porozmawiać, a przede wszystkim o tym — do kogo się zwrócić, żeby zostać wylansowaną.

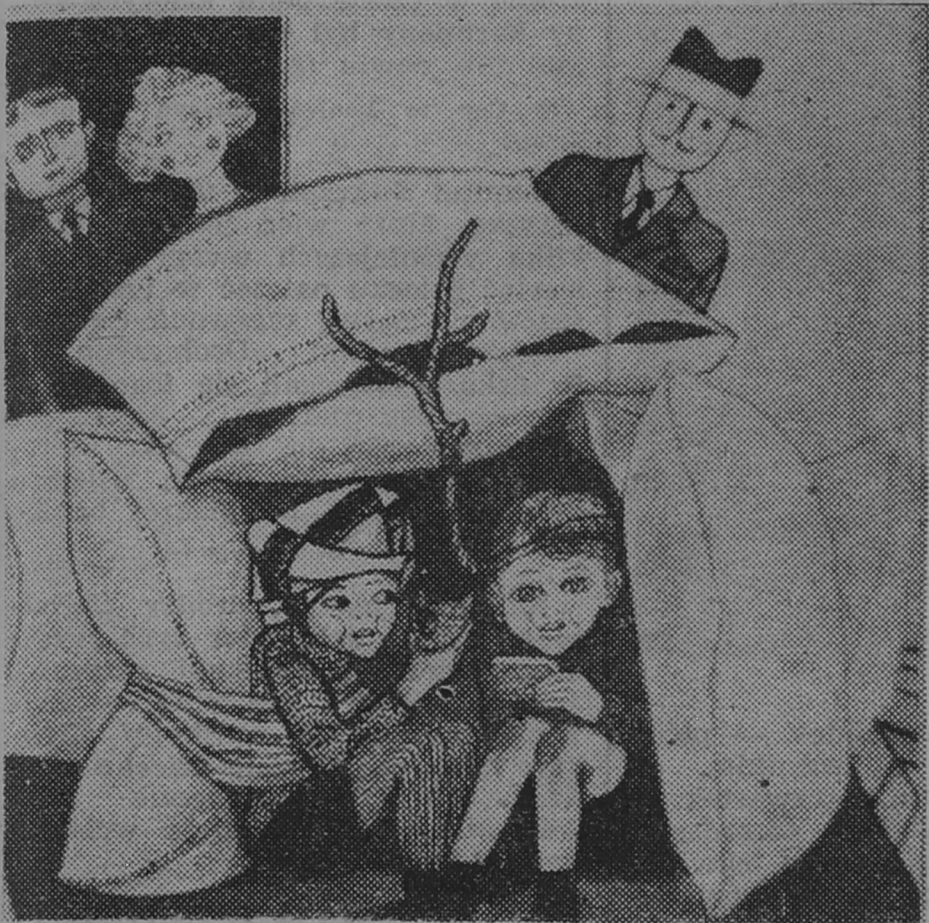
Za dwa miesiące będzie Wasz koncert w Warszawie. Bardzo chcę Cię zobaczyć z bliska. Czy mogę przyjść za scenę? Czy mi pomożesz, Koro, zostać piosenkarką?

Czekam na list

Marzena — Wólka Kościelna

Z WYWIADÓW KORY (III)

— Chcę pokazać mojej publiczności, że tkwienie w marazmie, a także w tym typowo słowiańskim dramatyzmie, jest czymś przynębiającym. Ja lubię wolty i odmianę w życiu.



baśnie pana Andrzeja

Z satysfakcją odnotowuje kolejne efekty współpracy z tomem skiego Błara Wósta. Artystycznych z suwańskim. Okazuje się że nawet w tak mało „dialektycznej” dziedzinie, jak uprzęstnienie sztuk pięknych, budująca jest zasada: „Choć masz niewiele, podzielić się tym, co ma jeszcze mniej”. Dzięki temu trafiała do pokoi wystawowych w starym domu *vis-à-vis* kamiennego Glogera prezentacje ciekawe, dobrze przygotowane i nieźle opracowane.

W trzeciej dekadzie listopada ściany BWA zapelnily się ilustracjami książkowymi Andrzeja Strumillo. Cóż za radość przeżyłem widząc z bliska, że to nie reprodukcje, ale oryginały. Najlepiej bowiem ilustracja wydrukowana, kolorowa czy czarno-biała, nie zawiera tylu dodatkowych znaków, ile kawałek kartonu lub zwyczajnej kartki zamalowany czy zarysowany przez malarza. Podobnie jest z obrazami, ale to — mimo wszystko — inna sprawa. Myślę, że cała tajemnica przewagi oryginału ilustracji książkowej polega na tym, że jest on mniej doskonały od reprodukcji. A przez to prawdziwszy. Szczegółowe znaczenie ma to w przypadku twórczości Andrzeja Strumillo, który ilustruje książki (na tej wystawie przede wszystkim dla dzieci i młodzieży) w mowie plastycznej języka ich oryginału. „Zrozumiały tygrysek” Chu Pao Chen jest nieomylnie chiński, przywodzący prostotę zdobionej ceramiki, tak charakterystycznej w tym kraju; siła obrazków w „Zabawkach w prawdę” Kowalewskiej polega na psychologicznej trafności umieszczania na rysunku wybranych przygód tego, co przede wszystkim widzieć może czytelnik wyobrażając siebie w tej sytuacji. Ilustracje Andrzeja Strumillo nie są fantastyczne, bajeczne, kolorowe, ale realistyczne i dwu-, trójkolorowe, a przecież tak wiele pokazują, odkrywają, bo nieomylnie trafiają do wyobraźni — poruszając ją, a nie wyręczając w ruchu lub obezwładniając nadmiernym bogactwem.

Grafika książkowa to wielka sztuka, a jeśli idzie o książki dla młodych czytelników jest kunsztem

całkiem sprawnym, mało u nas rozpoznawym. Nikt nie zajmował się w Polsce książką dla dzieci w sposób gruntowny, nie badano np. psychologicznych wymagań, co do wielkości, czerpionki drukarskiej w zależności od wieku czytelnika, ani wzajemnej zależności czy też proporcji tekstu i ilustracji, czy znaku graficznego w tekście i ich wpływu na przyswajalność treści. Nie słyszałem przynajmniej o takich działaniach, choć wiem o tym, że powstawały na te tematy prace doktorskie pisane przez Polaków — we Francji. Nic więc dziwnego, że grafika dla dzieci zajmuje się u nas specjalistycznie zaledwie kilku artystów. A to, że jednak wiele książek wydawanych w Polsce ma dobry lub bardzo dobry poziom plastyczny, zawdzięczamy wydawcom, którzy zdołali pozyskać i związać ze swymi oficynami wielu z plejady naszych znakomitych grafików, plakacistów i malarzy.

Andrzej Strumillo ukończył studia malarskie w jednym z pierwszych powojennych roczników. Były to lata bardzo dokładnie sprecyzowanych wymogów mecenatu państwowego od artystów. Ale także określonych i wcale niemałych świadczeń tegoż mecenasa na rzecz najmłodszych nawet, ale utalentowanych, twórców. Jednym z sposobów popierania ich twórczości było organizowanie podróży do krajów socjalistycznych i walczących z kolonializmem. Podczas podróży powstawały szkice, notatki, rysowane reportaże, które po powrocie do kraju pokazywano na wystawach, a nawet utrwalono w postaci tek reprodukcji i albumów. I chyba Strumillo, obok znacznie starszego klasycznego już Kulisiewicza, jedyny pozostał wierny temu „graficznemu globtrotterstwu”, a zapiski malarskie stały się jednym z podstawowych sposobów jego wypowiedzi. Czyż więc nie w tym tkwi źródło doskonałości jego ilustracji? Zapewne, ale tym, co mój podziw czyni jeszcze głębszym i zupełnie oczywistym, jest zachwyt najmłodszych kilkuletnich zaledwie gości na tej wystawie.

ANDRZEJ JASION

17

KONTAKTY
23 XII 1984
30 XII 1984

prezentacje



51

Natan z wyrazem straszliwej niepowinności wpatrywał się w twarz dzielnego: złowieszczy uśmiech błysnął się w jego ustach. Prawicą wyciągnął zużyty ale ostry i błyszczący nóż z pochwy; lewicą macał pierś Indianina, bez najmniejszej obawy, aby się zbudził. Wenonga spał, chociaż na jego piersi ciężka ręka białego spoczywała. Strzelec bynajmniej nie obawiał się jego zbudzenia; odsunął lewą rękę i przyłożył koniec noża do miejsca, gdzie przed chwilą czuł najsilniejsze uderzenia serca. Jedno tylko pchnięcie, a nóż pograżyłby się w sercu, które nigdy litości ani miłości nie znało. A pchnięcie to miał Natan nieprzewidywaną chęć zadać, zapominając o całym świecie i widząc tylko przed sobą bezwładnego wroga, mordercę matki, zabójcę żony i kata swoich dzieci. I muskuły jego ramienia naprężyły się, a ręka drżała z niecierpliwości i żądzy zemsty. Zatrzymał się dla opanowania wzruszeń, miotających sercem, dla nabrania tchu, dla zadania tym pewniejszego ciosu. I podniósł rękę...

Wtem zza ściany rozległ się głos płaczącego i narzekającego dziewczęcia. Ręka Natana obwisła, inne uczucie zbudziło się w jego sercu. Przypomniał sobie okropne położenie nieszczęśliwej branki i namyślił się, że zamordowawszy Wenongę, nie tylko wolność, ale i życie Edyty postawiłby na kartę. Otrząsnął się i szepnął sam do siebie: — Nie ujdiesz mi, morderco! Znajdę cię i później, a ta nieszczęśliwa, teraz mojej pomocy potrzebuje. Do zobaczenia, Czarny Sepiel!

Ostrożnie i cicho wsunawszy nóż do pochwy, kwakier opuścił bezprzymownego wodza i, czując się jak wąż, podsunął się pod ścianę namiotu, a uchylwszy zwieszoną jej skórę, zajrzał do wnętrza i przekonał się, że jest u celu swych życzeń.

Namiot był wąski a długi, słabo oświetlony gasnącym ogniskiem, okopcony wewnątrz od dymu tak, iż z trudnością można było przejrzeć jego wnętrze. W środku stał pal, podpierający dach, a na nim, jako też na przeciwległej ścianie, należącej do chaty, porozwieszane były rozmaite przedmioty, jako to: naczynia, broń i zapasy żywności. Ponad ogniskiem kołysały się zawieszane na sznurze czupryny ludzkie, w dawniejszych wyprawach zdobyte, pomiędzy których szczególnie odznaczały się dwa długie warkocze kobiece: jeden siwy, a drugi czarny i kilka drobniejszych loków jasnozłocistych.

W najdalszym kącie namiotu leżała kupa skór zwierzęcych, wyprawionych z sierścią, będących pościelą jego mieszkańców. Ponad nimi na ścianie wisiało mnóstwo odzieży, znać na białych w rozmaitych wyprawach zdobytej. Mnóstwo nagromadzonych tu gratów w nieporządku i bezładzie dawało do poznania, iż namiot służył na ich skład od dawnego czasu.

W głębi siedziały trzy kobiety. Jedną z nich to Edyta, z bladym obliczem, na którym malowała się wielka boleść, dochodząca prawie do rozpacz. Trzymała ona obydwoma rękami inną kobietę za suknie, jakby błagając jej pomocy. Tą drugą była Telia Doe, córka Daniela, usiłująca się wydrzeć z objęć Edyty. Płakała ona równie jak tamta i starała się uspokajać ją słowami pociechy. Trzecią na koniec kobietą była niemłoda Indianka, podobna do obmierzłej czarownicy. Siedziała koło ogniska i grzała przy nim wychudłe ręce; płacz dziewcząt wcale jej nie obchodził, owszem, rzucała na nie z ukosa złowieszcze i ja-dowite spojrzenia, wyrażające nienawiść zawziętą.

Pomimo wzmagał się wiatru i szumu konarów wiazu. Natan słyszał wyraźnie każde słówko obu dziewcząt. Edyta błagała Telie, aby jej nie opuszczała. Telie spłoniona ze wstydu, oburzona niegodziwym postępkami ojca, zaklinała Edytę, ażeby się uspokoiła i prosiła ją, żeby jej dłużej nie zatrzymywała.

— Nie lękaj się — mówiła do niej — oni ci krzywdy nie zrobią.





Czy zawsze nowe oznacza lepsze, zdrowsze, rozsądniejsze? Co nam zostało ze starych zwyczajów, niegdyśszych porad dobrego wychowania i wszelkich przepisów praktycznych, a co zostało nam myślenia i następców? „Starocie” mogą nas dzisiaj nieco bawić, pozwalają jednak lepiej zrozumieć zachowanie się prababek i pradiadków, czasem i one zmuszają do zastanowienia się. Lecz w święta raczej wypada się śmiać niż filozofować. Chociaż... By zabawa była atrakcyjniejsza, proponuję system pytań i odpowiedzi.

1) Czego kobiety ciężarne robić nie powinny?

Siadać na progu, przechodzić przez rozstajne drogi lub płoty (bo będzie trudny poród), przez ogon leżącego psa (dziecko będzie kosmate), siekierę (mały urodzi się z rozciętą wargą). Nadto nie wolno im wychodzić po zachodzie słońca (złe duchy), ani też patrzeć na księżyc (lunatyki!), szyć, czerpać wody ze studni. Zdaniem jednych: kobiecie ciężarnej nie można niczego pożywić, bo myśli wszystko zjedzą; według innych: rzecz ma się zupełnie odwrotnie i niech się nikt nie wazy jej czegokolwiek odmówić (opowiadamy się za tą drugą wersją!).

2) Jak ułatwić poród?

Trzeba położnicę rozebrać, rozpleść jej włosy, wyjąć z uszu kolczyki i zdjąć pierścionki, a także otworzyć wszystkie zamki w domu, kufry, szafy i szuflady (rada z południowej Rusi).

3) Co zrobić z wodą po pierwszej kąpieli noworodka?

Nie należy jej wylewać przez dni trzy, a i później należy to uczynić przed wschodem słońca (rada spod Krakowa), na drogę uczęszczaną (żeby ludzie lubili malucha — to przestroga z Galicji), pod słodką gruszę lub inne urodzajne drzewko (dzieci szybko urosną), w kąt domu (by małemu nikt niepotrzebnie drogi w życiu nie przestępował). Można też część tej wody wylać na rozstaje dróg, a resztę na wierzbę (żeby czarownice i zli ludzie nie odebrali dziecku szczęścia — Węgry), a można i wszystko wylać za próg (jeśli kapaliśmy chłopczyka) lub przez próg (jeśli to była dziewczynka, która winna się przeciw trzymać domu — Sycylia). W okolicy Świsłoczy opryskiwano tą niezwykłą wodą piec.

4) Czas na chrzciny. Co kumowie dają chrześniakowi?

Najstosowniejszym darem jest płótno, względnie ubranie. Upowszechnia się jednak dawanie pieniędzy. Musi to być jednak moneta związana w róg pieluszki dziecka lub wsunięta pod poduszki. Na Kaszubach rodzice chrzestni wtykają w szaty dziecka igły i szpilki. Pamiętajmy: „kumowanie jest zaszczytem, ale zarazem i obowiązkiem, nie można się od niego wymówić”. I jeszcze jedna uwaga: „od charakteru kumów, a przede wszystkim od ich zachowania się w drodze do kościoła, czy też podczas samego wreszcie chrztu zależy wedle powszechnej wiary przyszłość dziecka”.

5) Zwykło się kłaść berbecia na ziemi, by ojciec mógł go podnieść i tym samym przyjąć do rodziny. A może nie wszędzie i nie zawsze na ziemi?

Na Kaszubach kładziono niemowlę pod stół (żeby było posłuszne), w Wielkopolsce dziewczyny pod stół, a chłopaków obnoszono po wszystkich kątach izby, w Opolskiem z kolei kładziono malucha na klepisko, w Siedleckiem na progu (ojciec uderzając różgą po poduszkach mówił do syna: „a nie chodź po wsi, a słuchaj się ojca, a jedź groch z kapustą, będziesz dobrym gospodarzem”), w Lubelskiem i Suwalskiem — pod ławę (żeby było „ciężkie, złe” i nie dało sobie zrobić krzywdy), na Wileńszczyźnie — pod próg. Szczęście w przyszłym małżeństwie można było zagwarantować „nowochrzeńcowi” przez trzykrotne obniesienie go dookoła stołu.

6) Po czym poznać, że dziecko na pewno będzie szczęśliwe?

Sposobów jest wiele, ale pierwszy znak, to dzień urodzin. Wedle ustaleń z Rusi południowej urodzony w niedzielę będzie osobą du-

obrzędy z narodzeniem dziecka związane



rianty: urodzony we wtorek — łotr, w sobotę — obłudny i poządlwy, w niedzielę — zdolny widywać duchy.

7) Co z karmieniem?

Matka nie może dziecku podać najpierw mleka z lewej piersi, bo wychowa mańkuta (niekiedy i „ze złymi oczyma”) oraz karmić przez dwa Wielkie Piątki (mały straci pamięć). Raz odstawię od piersi nie można zaczynać karmić ponownie. Przerwać karmienie trzeba zaś w dzień pogodny, najlepiej w środku tygodnia, nie w czasie sianokosów i odlotów ptaków, też nie w maju, gdy ptaki ciągną (dziecko będzie dzikie i upodoba sobie ucieczki do lasu — Siedleckie). Dobrze to zrobić w czasie pełni księżyca (żeby karmiony był tusty — Mazowsze) lub nowiu (żeby był ładny).

8) Czy to koniec zaleceń i przestroż?

Skądże! Starczyłoby ich na grubą książkę. Może więc jeszcze tylko kilka ważniejszych uwag: nie pozwalaj dziecku patrzeć w lustro, o-taczać go barwą czerwoną (jedynie mieszkańcy spod Drohiczy i Brańska wystrzegali się tego koloru), obsypać ziarnem. Jeśli już przyjdzie gość do izby, w której jest małe dziecko, niech usiądzie choć na chwilę, bo inaczej brzdąc nie zaśnie.

Najlepiej jednak, drodzy Czytelnicy, zróbcie jak autor tych wypisów: przewertujcie sami rozprawę Jana Stanisława Bystronia — „Słowiańskie obrzędy rodzinne” (Kraków 1916), no i kupcie dziecku choć lizaka, bo jeśli „chcecie mieć wdzięczne dzieci, bądźcie wdzięcznymi dziećmi”.

ADAM DOBRŃSKI

52

Ojciec mnie o tym zapewnił, a znajdujesz się w chacie wodza, do której żaden Indianin nie ośmieli się zbliżyć. Lecz puść mnie, puść, bo jeżeli się dowie, że tu byłam, zabije mnie!

— Ojciec twój! — zawołała ze wstrętem Edyta. — Wszakże słyszałam, że to on naprowadził na nas tych barbarzyńców. On to mojego nieszczęśliwego brata wydał w ręce katów... Idź! Idź! Powiedz im, niech przyjdą! Niech mnie zamordują, a wówczas wszystko się skończy.

Telia pochwyciła rękę Edyty, a okrywając ją pocałunkami, mówiła z rzewnym płaczem: — O pani! Wierz mi, że ja temu wcale nie winna: ja bym za was oboje oddała życie.

— Jesteś niewinna! — zawołała Edyta z gorzką wymówką. — A któż nas zdradził? Kto wprowdził na nas tych barbarzyńców. On to mojego nieszczęśliwego brata wydał w ręce katów... Idź! Idź! Powiedz im, niech przyjdą! Niech mnie zamordują, a wówczas wszystko się skończy.

Tymi słowami Edyta, której umysł pod wpływem okropnych wrażeń w dziwnym znajdował się zamęcie, zaklinała Telie, ażeby jej nie opuszczała. Telia zapewniała Edytę, że nikt nie myśli wyrządzić jej krzywdy i prosiła, aby jej dłużej nie zatrzymywała, gdyż ojciec ją zabije za to, że wbrew rozkazowi, ażeby nikt nie zbliżał się do uwięzionej, ośmieliła się tak postąpić. Przysięgła wreszcie, że odwiedzi ją znowu, byle tylko pozwoliła jej odejść.

Ale Edyta, pomimo najszczęśliwszych zapewnień, nie chciała puścić od siebie Telii i gdy dopiero skutkiem zbytecznego wzruszenia omdlała, powiodło się córce Doego wymknąć z jej rąk i wybiec z chaty.

Natan, widząc ją wychodzącą, przylękł do samej ziemi i czekał, dopóki nie zniknie za drzewami. Potem z niezmierną przezornością przekradł się koło śpiącego wodza i obok pogrążonych we śnie wojowników i szczęśliwie dostał się do krzewin, w których pozostawił Ralfa Stackpole'a. Znalazł go pogrążonego w głębokim śnie i tak głośno chrapiącego, że mógłby chrapaniem zaalarmować całą wieś, gdyby nie to, że mieszkający jej, upojeni wódką, spali również jak zabici.

— Niech mnie grom roztraska! — krzyknął, gdy ramie Natana silnie go wstrząsnęło. — Usnąłem jak niedźwiedź w zimie, to szczęście, że te niedolegi nie dosłyszały mojego chrapania. Cóż nowego przynosisz, stary wilku?

— Wszystko idzie dobrze — rzekł Natan. — Daj mi jedną uździenicę.

— Co? Uździenicę? A tobie ona na co? Czy nie myślisz kraść koni i fuszować mego zawodu?

— Nie, przyjacielu, potrzebna mi jest do związania starej Indianki, strzegącej Edyty.

— A więc znalazłeś anielską damę! — zawołał Ralf zachwycony. — Prowadź mnie natychmiast do niej, a pochwycę ją w moje szpony i uniosę daleko od tej jaskini rozbójników. Zawołajmy kapitana, niech i on dopomoże nam w wyswobodzeniu tego biednego dziecka.

— Kapitan, chociaż odważny i dzielny, byłby nam raczej zawadą, aniżeli pomocą w samym środku wsi indiańskiej. Pełno w niej wojowników; oprócz Osagów kilkunastu Wyandotów śpi koło domu rady. Spiesz co żywo do stadniny i, jeżeli możesz, wybierz cztery konie najlepsze. Kiedyś będziesz miał, prowadź je dla zmylenia pogoni w stronę przeciwną tej, z której przyszliśmy, a potem przepraw się przez strumień i czekaj na nas u stóp góry, z której uirzeliśmy te osady. Tam nas znajdziesz, czekających na ciebie. Pamiętaj wypełnić jak najściślej, co ci polecam, inaczej wszystko stracone.

— Krwawy Natanie! — odrzekł Ralf — jeżeli nie skradnę najlepszych koni, niech mi te czerwone szatany serce wyrzną. Jeżeli nie wypełnię jak najściślej twoich poleceń, nazwiesz mnie Osagiem. Oto moja przednia łapa, wal w nią, stary niedźwiedziu!

Natan i Ralf udali się każdy w swoją stronę, stosownie do umowy. Tymczasem Roland niecierpliwił się na swoim stanowisku, a po upływie godziny, nie mogąc doczekać się powrotu swych sprzymierzeńców, postanowił udać się w ich ślady. Właśnie gdy tamci prowadzili z sobą dopiero co opowiedzianą rozmowę, nadszedł na miejsce ich schadzki. Co mówili, nie mógł dobrze usłyszeć, zrozumiał jednak, że odszukano więzienie Edyty i że stanowcze działanie w celu uwolnienia jej wkrótce nastąpi. Gdy Ralf oddalił się, Roland poszedł za Natanem i kilkakrotnie wołał na niego, ale szum wiatru głos jego zagłuszył. Kapitan zatrzymał się przez chwilę, rozważając, czy ma się udać za Natanem, czy też zawrócić do Cukierka, który, posłuszniejszy od Rolanda, pozostał na swym miejscu w krzakach. Przemogła jednak chęć zobaczenia siostry. Nie mógł przy tym przetrześć tej myśli, iż kiedy inni narażać będą życie dla jej wyswobodzenia, on ma być beczynnym świadkiem ich usiłowań. Naśladowując więc chód, postawę i ostrożność Natana, udał się za nim w głąb wsi, gdzie go groźne niebezpieczeństwa ze wszech stron otaczały.

Richard KK

TABUN KONI

Gdy się to działo, Edyta siedziała w chacie, pogrążona w głębokich myślach. Wszystko, czego dotąd doznała, wydawało jej się okropnym snem. Widok starej Indianki napełnił ją trwogą. Stara czarownica, siedząc przy ognisku, miała wciąż wzrok wlepiony w brankę i strzegła jej najmniejszego poruszenia. Na jej odrażającej twarzy nie widać było ani cienia współczucia, dziką nienawiścią tchnęły jej szpetne rysy. Niekiedy dla skrócenia długich godzin nudnego pilnowania mruzczała jakąś monotonną pieśń indiańską, ponurą jak noc huczącą wichrem na dworze.

Dzięki śpiewu grozą przejmował duszę dziewczęcia, z wolna jednak monotonne dźwięki wywarły dziwny wpływ na Edytę; doprowadziły one jej myśl do rozpamiętywania doświadczonych przygód i natchnęły ją pewnym rodzajem obojętności na swój los. Obudziła się w niej moc duszy i pierwszy raz zaczęła rozważać, czy nie udałoby się jej ratować ucieczką przy pomocy Telii. Z pochyloną głową, pogrążona w myślach, zapadła w stan marzenia, podobnego do snu.

Nagle śpiew ustał. Edyta podniosła głowę i z przerażeniem ujrzała przed sobą wysoką postać, okrytą wraz z głową bawelnianą oponczą, spod której wyglądała para iskrzących oczu. Zwróciwszy wzrok na Indiankę, dostrzegła, iż ta usiłuje niepostrzeżenie wymknąć się z namiotu. Edyta zrywa się z posłania i chce pospieszyć za nią, ale silna ręka widziadła zatrzymuje ją w miejscu. Oponcza spadła w tym poruszeniu zatrzymującą ją postaci i Edyta z przerażeniem poznała w niej Ryszarda Braxleya.

— Nie lękaj się, Edyto! Nie jestem twoim nieprzyjacielem. Czy mnie znasz?

POD CHOINKĘ

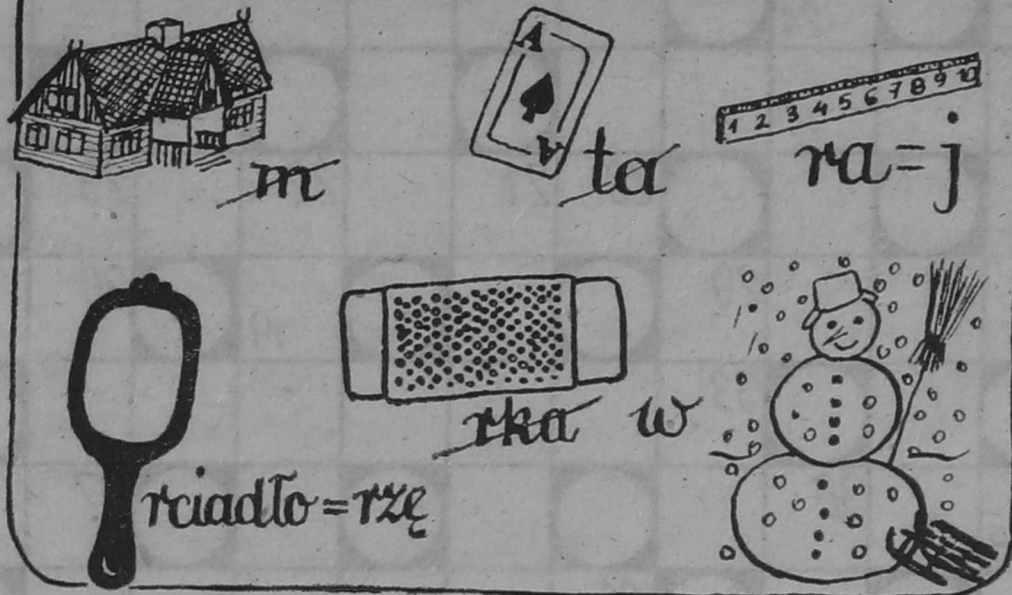


Wpisz w diagram dośrodkowo dwanaście trzysylabowych wyrazów o podanych znaczeniach. Pamiętaj, że druga sylaba jest wspólna dla pary sąsiadujących z sobą wyrazów, a trzecia — wspólna dla wszystkich.

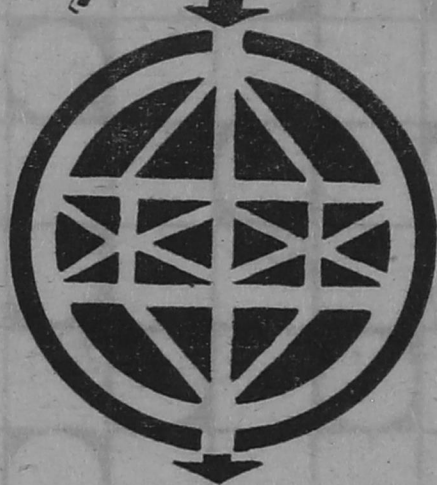
1) ozdoba bielizny pościelowej i osobistej, 2) czerwona w kropki, 3) pije atrament z kalamarza, 4) podszwa buta, 5) szklany pojemnik do płynów, 6) uszko z tasiemki, 7) malowane jajko, 8) wiosenny kwiat, 9) leśna jagoda, 10) rodzaj wędliny, 11) jarzyny z majonezem, 12) dawny dzwonek.



REBUS



WĘDRÓWKA

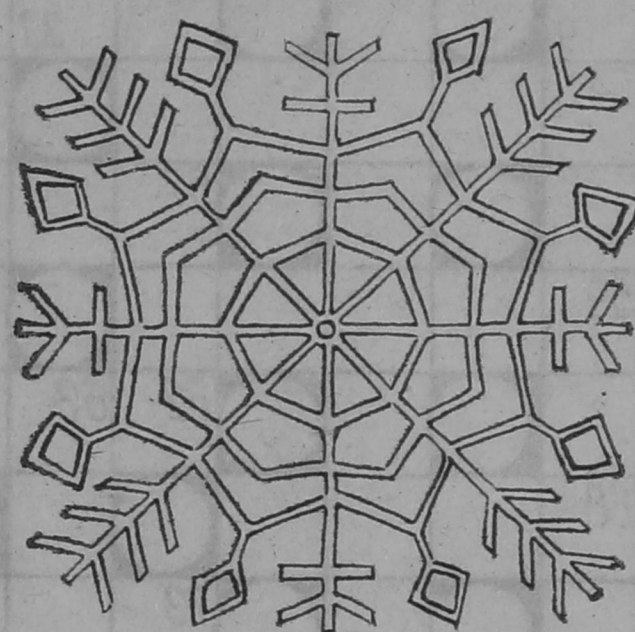


Spróbuj przewedrować przez wszystkie ścieżki labiryntu (rozpoczynając od wejścia oznaczonego strzałką, a kończąc przy drugiej strzałce) tak, aby droga w żadnym miejscu się nie krzyżowała. Podczas wędrówki pamiętaj także o tym, że ani jednego odcinka trasy nie wolno przechodzić dwukrotnie.



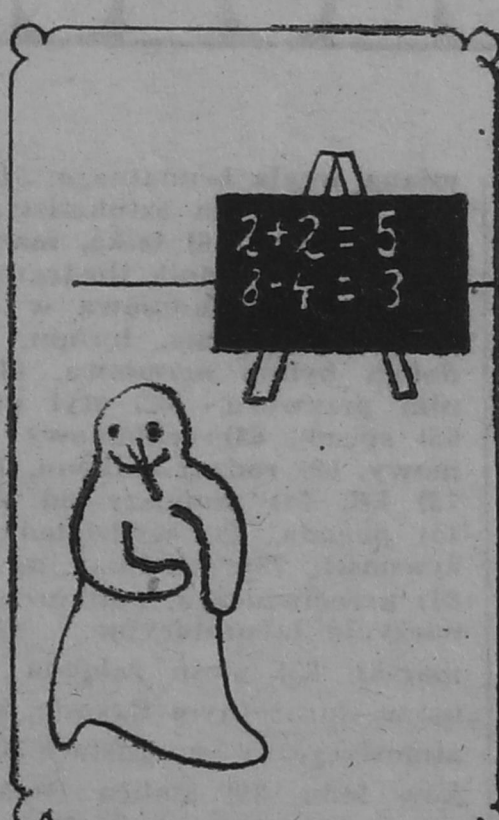
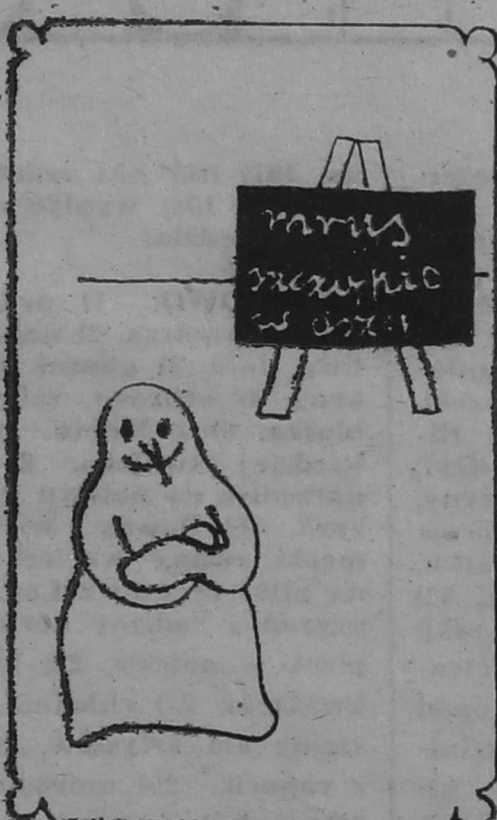
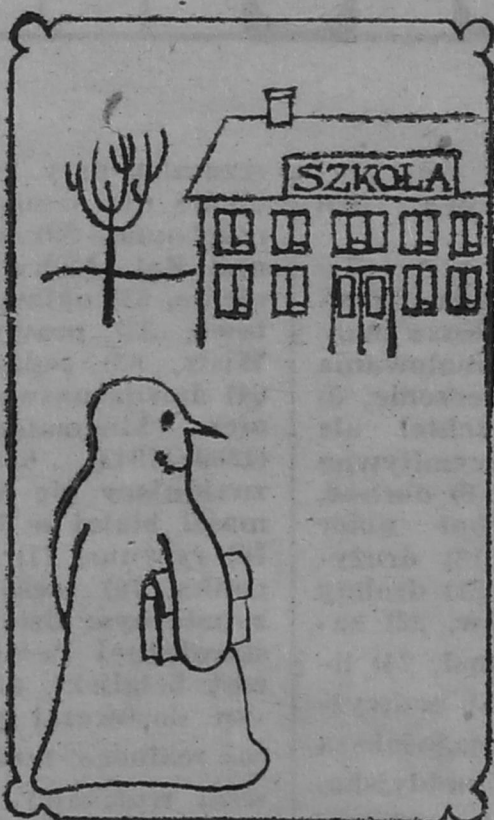
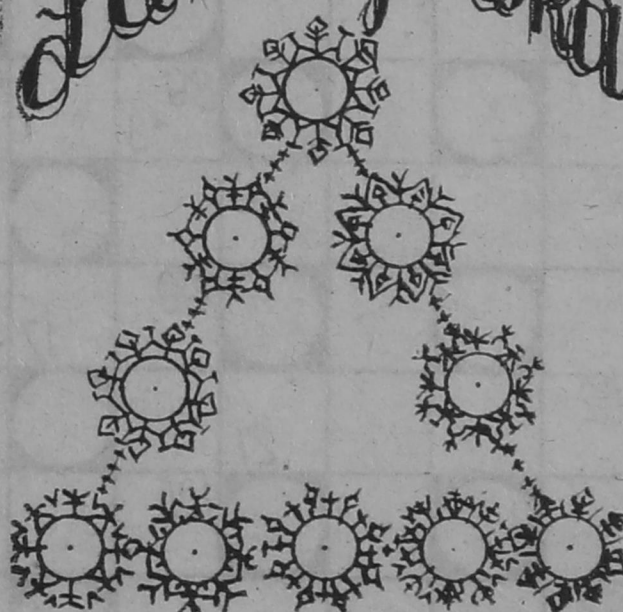
POZIOMO: 2) zbiorowisko drzew, 3) zespół ludzi, inaczej drużyna, 4) kręci się w oku, 5) drzewko świąteczne, 10) planeta układu słonecznego, 12) eksponat, egzemplarz wystawowy, 13) jednostka zbioru bibliotecznego, 14) niejadliwy wąż, 18) drzewko liściaste, 20) miasto przy ujściu Warty nad Wartą, 21) choinka.

PIKOWO: 1) sprzęt sportowy do szajdów z góry po śniegu, 6) nie jedno jest u węża, 7) zamysł, projekt, 9) kojarzy się ze śniegiem, 9) ochronne nakrycie głowy, 10) dobry przewodnik elektryczności i ciepła, 11) imię męskie, 13) jednostka miary powierzchni, 14) wielka rzeka syberyjska, 17) otwór w ścianie budynku, 19) nadodrzański ośrodek przemysłu cementowego.



Cyfrę od 1 do 9 wpisz w kółka w takiej kolejności, aby suma cyfr na każdym boku trójkąta wynosiła 20.

Lamigłowska



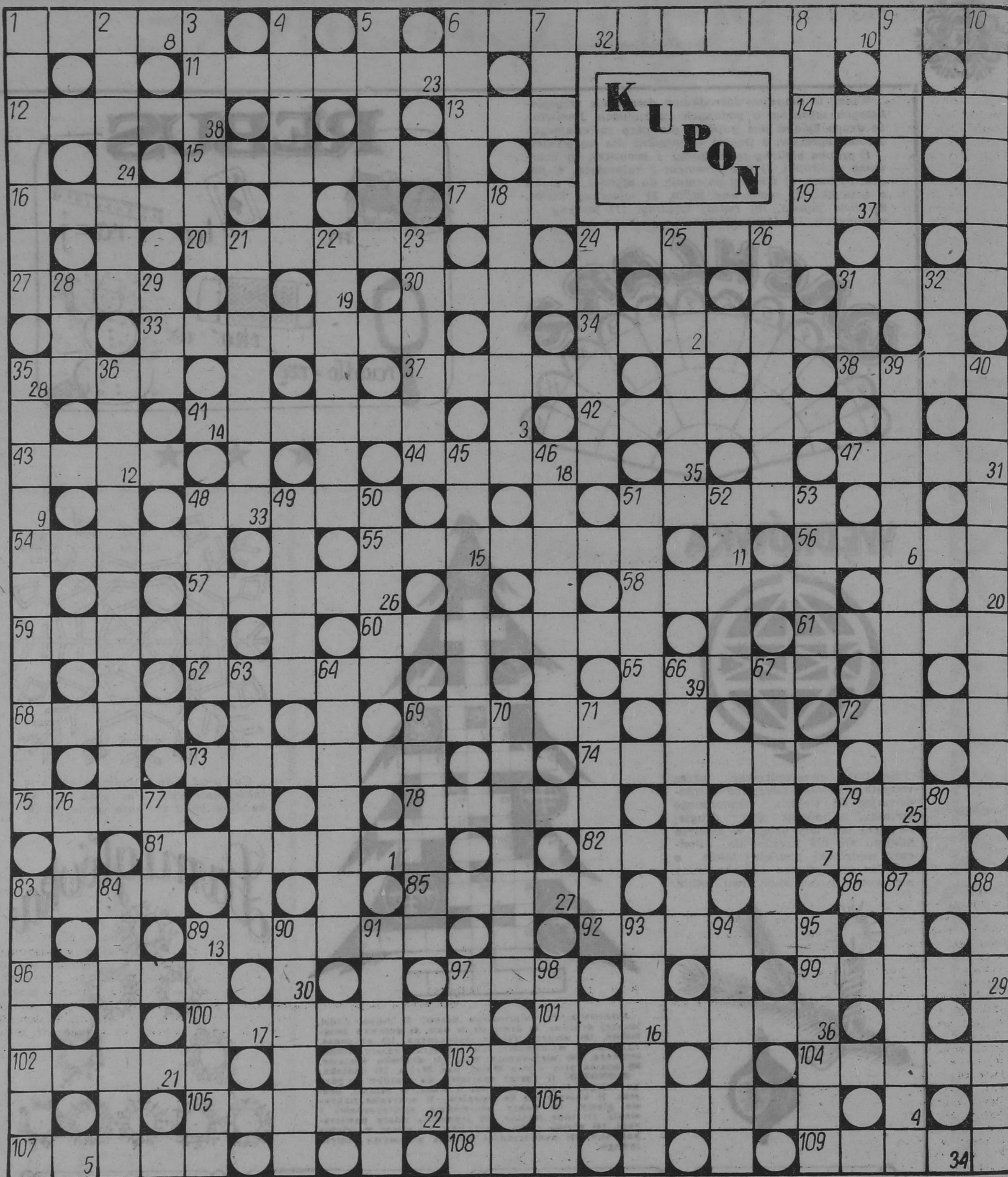
POD CHOINKĘ



DLA NAJMIŁODSZYCH

DLA NAJMIŁODSZYCH

Nagrody: bon pieniężny na 2 tysiące złotych i 2 – po 1500



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krótkich ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 39, utworzą dodatkowe hasło. Rozwiązanie w postaci hasła należy nadsyłać w ciągu 14 dni (od ukazania się numeru (z naklejonym kuponem konkursowym)).

POZIOMO: 1) ćwiczenie gimnastyczne, 6) dawny typ samolotu z trzema płacami nośnymi, 11) nimfa wodna, 12) zimowy pojazd, 13) autor powieści „Solaris”, 14) barwna plamka, 15) świeże, suszone, piwne, 16) piękny, rasowy koń, 17) potrząsk na ptaki, 19) sztuczny materiał ubraniowy, 20) ziółko, gągatek, 24) niejeden w bruku, 27) lisia nora, 30) drwina, szyderstwo, 31) w przenośni szereg odmian, 33) dawna nazwa murarza, 34) ktoś bliski z rodziny, 35) duża skrzynia, 37) pieczę w przelyku, 38) drzewo liściaste, 41) przylepka, 42) pierwiastek chemiczny, 43) poeta hiszpański (1283–1350), 44) siano przed skoszeniem, 47) narząd wzroku, 48) od-

miana węgla brunatnego, 51) rezerwa, 54) domena sztukmistrza, 55) imię żeńskie, 56) lalka, marionetka, 57) znany tygodnik ilustrowany, 58) Północna i Południowa w Azji, 59) miano, określenie, termin, 60) ozdobna bylina ogrodowa, 61) antonim przywozu, 62) styl pływacki, 65) spiszek, 68) reklamowy lub filmowy, 69) rodzaj balkonu, 72) dryf, 73) kil, 74) mniejszy od drużyny, 75) pogoda, 78) wydzielona porcja żywności, 79) jadalnia na stółku, 81) przeciwniczka, konkurentka, 82) naczynie laboratoryjne, 83) ssak morski, 85) pieśń żałobna śpiewana w starożytnym Rzymie, 86) opad atmosferyczny w postaci kryształków lodu, 89) stolica Omanu, 92) rzut różny, 96) stopień wojskowy, 97) między antraktami, 99) wentyl, 100) składnik jądra atomowego, 101) najdalej na pñ. wysunięty punkt Polski, 102) prymitywne urządzenia do mielenia ziarna, 103) głębia obrazu, 104) daktylowa, kokosowa, 105) zimnica, 106) świeteczna szop-

ka, 107) indyjski ozdobny wóz procesyjny, 108) wypływa z oka, 109) rodzaj pędzla.

PIONOWO: 1) dekoracja plastyczna wnętrza, 2) najmniejsza możliwa ilość, 3) ołówek do malowania brwi, 4) ochrona, zabezpieczenie, 5) błotka, 6) z Miletu, 7) achteł ale bardziej swojsko, 8) prymitywne narzędzie do połowu ryb, 9) dochód, zysk, 10) dawny wierzchni ubiór męski zwany węgiem, 18) drużyna piłki ręcznej z Łodzi, 21) drobny gryzoń z rodziny norników, 22) zapiszek w notesie, 23) krasnal, 24) likwidacja, 25) chłodnia, 26) podwyższenie dla artystów, 28) największa z ropuch, 29) mniszka buddyjska, 31) zaskakujący chwyt komediowy w filmie, 32) wymarły duży ptak nielatający z Nowej Zelandii, 35) na pieniądze, 36) zbiór rękopisów, 39) czynność wykonywana przez niemowlaka, 40) na czele brygady robotniczej, 45) serpuła, 46) zewnętrzna część powłoki zwierząt

zrzuca przy linieniu, 48) schronienie dla samochodu, 49) borowik, muchomor, 50) miasto w USA, port nad Zat. Meksykańską, 51) zabronienie, 52) opłata za przesyłkę pocztową, 53) prawy dopływ górnej Wisły, 63) rodzaj płaskiej teczki, 64) dawna nazwa żeliwiaka, 66) pionier kinematografii niemieckiej (1866–1943), 67) miejsce, obszar znajdujący się w środku, 69) koń maści białej w kare, gniade łaty, 70) ryecynus, 71) ucieczka przed naganką, 76) część nogi, 77) papuga z potężnym dziobem, 79) kapłan w starożytnej Persji, 80) słynny kurort belgijski, 83) dawniej w wojsku dostarczał paszy koniom, 84) coś realnego, rzeczywistego, 87) przewrót wojskowy, 88) ptak łakowy z rodziny chruścieli, 89) stolica Bahrajnu, 90) łopata, 91) słynny krążownik rosyjski, 93) kłamca, szachraj, 94) natarcie, najazd nieprzyjaciela, 95) roślina oleista, 97) beczulka na wino, 98) miejsce akcji „Piady”.

OSTROŻNOŚĆ

„Rozumiem, że przychodzi do was tyle listów, że mój wyda wam się bezsensowny i mało ważny. Ale mam nadzieję, że będę miała szczęście i zostanie on wydrukowany. Miałam chłopca, jednego, prawdziwego zresztą. Chodziłam z nim bardzo krótko. Okazało się, że on się żeni. Po prostu «must». A niedawno miałam śliczny sen. Śniło mi się, że idę razem z nim do Kościółka, aby usłyszeć jego zapowiedzi, ale te zapowiedzi nie były ważne. On obejmował mnie, a ja jego. Zasłaliśmy do mnie. Miałam włożyć swój nowy kożuch. On chwycił mój dom, słuchaliśmy muzyki. On coś rysował i mówił, że tak być nie może, że się nie ożeni, a ja byłam szczęśliwa. Ale tak jest we śnie. Wkrótce z ambony usłyszę jego nazwisko. Bardzo proszę, wyjaśnijcie mi, co oznacza ten cudowny sen? Teraz moje życie jest monotonna i nieciekawe. Mam osiemnaście lat.

Agnieszka

DESEN RYSOWAĆ -
STRATA CZASU!



Twój problem, Agnieszko, jest dla nas tak samo ważny, jak wiele innych. Przeżyłaś pierwsze wielkie rozczarowanie. We śnie natomiast skonstruowałaś obraz, który zaspokaja Twoje wielkie pragnienie bycia tą jedyną, kochaną, szanowaną. Sen jest odbiciem Twoich marzeń, tego, o czym nieustannie myślisz. I tak zaabsorbowana swoimi marzeniami nie byłaś zupełnie zdolna poznać cech charakteru Twojego byłego chłopca. A on przez jakiś czas zachowywał się w stosunku do Ciebie tak, jak Ty sama tego oczekiwałaś, aż w końcu wydało się, że Cię najzwyczajniej oszukiwał. Bardzo mało o nim wiesz. Właściwie tylko to, co sobie wyobrażasz sama. A jaki on jest w rzeczywistości? Dlaczego Cię oszukiwał? Czy jest teraz uczciwy w stosunku do swojej nowej partnerki? Czy dalej próbuje oszukiwać Ciebie, was oboje, aby tylko nie stanąć twarzą w twarz z prawdą o własnej słabości? Agnieszko, dobrze, że napisałaś do nas. Ktoś musi powiedzieć Ci, że sukcesy w życiu odnosi tylko ten, kto wie, czego wymagać od siebie i innych. Ty żyjesz jeszcze jak we śnie, a masz już 18 lat. Obudź się. Oceniaj ludzi możliwie jak najobiektywniej i staraj się od wszystkich wymagać, aby Ciebie uczciwie traktowano, tak jak Ty pragniesz traktować samą siebie i wszystkich innych ludzi. Poczekaj na dojrzałego partnera i sama dojrzej przez ten czas do umiejętności oceniania go i zdecydowania, czy wart jest Twojego zaufania. Patrz, jak żyje, co robi, z kim się przyjaźni, co docenia, czego nie akceptuje. Nie słowa, które usłyszysz będą ważne, nie słowa...

WIELKA WYGRANA

„W sny nie wierzę, ale korci mnie, żeby spróbować, czy to wszystko, co piszecie o snach, mogłoby się w moim przypadku sprawdzić. Pewnie nie zamieścicie mego listu, ale zaryzykuję. Otóż niedawno mi się przyśniło, że biegła za mną wielka świnią. Zaczęłam przed nią uciekać i jak myślałam, że już od niej uciekłam — zjawiała się przede mną. Stanęliśmy i patrzyliśmy na siebie długo. Świnią nawet pochrząkiwała dość przyjaźnie. Potem odwróciła się tyłem i oboje odeszła. Wtem nagle znalazła się tuż przy mnie inna świnią i zaatakowała mnie. Zaczęłam się

CUDZOZIEMCĄ WIDZIEĆ -
PONIŻENIE!

bronić, niestety — pogryzła mnie mocno w rękę. Co to znaczy?

Piotrek z Warszawy”
Panie Piotru, niech się Pan mocno trzyma: wygra Pan wkrótce główną wygraną na loterii. Radzimy natychmiast udać się tam, gdzie trzeba, i wypełnić kupon, a także kupić los. Jesteśmy absolutnie przekonani, że po zainkasowaniu fortuny nadjedzie Pan wytwornym autem z Warszawy do Łomży i zaprosi nas wszystkich na kawę. Przestrzegamy jednak — choć to niebawem szczęście spadnie na Pana — może się obrócić przeciw Panu. Sen zapowiada także wielkiego pecha. Oby się tylko skończyło na fałszywej technicznej ekspertyzie przy zakupie wozu na giełdzie. W każdym razie, niech się Pan trzyma, jakoś to Pan przeżyje. A my będziemy się pocieszać, że wymyślił Pan dla nas swój sen nudząc się na lekcji przyrody.

DESEN POD TYTUŁ

Pani Hanna J. z Białegostoku miała sen, który wywarł na niej bardzo silne wrażenie: „Padł grad. Obserwowałam, jak wali w okno mego domu. Odnosiłam wrażenie, że dom drży, że grozi mu coś w rodzaju trzęsienia ziemi. Kiedy czekałam na tragiczny finał tej sceny, ktoś, myślałam, że to mój mąż, podszedł do mnie od tyłu i szarpnął mnie za ramiona. To był jakiś obcy, zamaskowany mężczyzna. Związał mi ręce na plecach. Zobaczyłam, że ma wielki młotek w ręku. Wiedziałam, że za moment zamorduje mnie i nie mam już żadnej szansy. Nawet nie mogłam krzyczeć, tak się bałam. Gdy podniósł ten młotek i zamachnął się — obudziłam się spocona i przerażona.”

Pani Hanno, życie wystawia chyba rachunek za popełnione błędy. Sen zapowiada duże nieporozumienia małżeńskie, może dojść nawet do rozwodu, jeśli nie będzie Pani uważała i nie zrezygnuje (co istotne) z egotyzmu. Jak z drugiej części snu wynika — znajdzie się ktoś, kto zechce mieć udział w Pani nieszczęściu. Ktoś, kto może w jakiś sposób na tym skorzystać. Tylko od Pani teraz zależy, czy pozwoli Pani losowi nieść się, w jaką tylko stronę wypadnie. Trzeba jak najszybciej przełamać swój upór i przestać zrzucać winę za wszystko, co się nie udało i co się teraz zdarza, na innych ludzi. Niech Pani przemyśli swoje małżeństwo jeszcze raz. Niech Pani obiektywnie oceni, czym jest ono dla Pani męża? Gdy nie osiągnie Pani głębszego zrozumienia sytuacji, radzimy udać się po pomoc do kogoś życiowo dojrzałego, mądrego i życzliwego, czyj autorytet ułatwi Pani przyjąć jego radę. Inaczej wpakuje się Pani w kolejny życiowy dramat i w szybkim czasie kłopoty się powtórzą w znacznie ostrzejszej formie.

CENNIK -
NIEMIŁE
WIADOMOŚCI!przyszłość
podejrzana

Kabala to teozoficzno-filozoficzny nurt w judaizmie, oparty na neoplatonickiej teorii emanacji, a skierowany przeciwko racjonalistycznym prądom filozoficznym. Kabaliści istotnego sensu „Biblii” doszukiwali się w jej podtekście, głosili wiarę w magiczną siłę liter tekstu biblijnego oraz w możliwość oddziaływania na zjawiska przyrodnicze i społeczne za pomocą kombinacji liter. Podstawowym dziełem kabalistycznym była tajemna księga „Zohar”.

kabala według Sepharia

W znaczeniu potocznym jest kabala rodzajem wróżbiarstwa, polegającym na kombinacji liczb i wyrazów, czasem z udziałem kart. Jedną z najprostszych jest przedstawiona poniżej kabala angielskiego astrologa, Sepharia, która przed kilkudziesięciu laty zrobiła w Anglii furorę. O tym, czy może nas bawić i dziś, przekonajcie się sami — wypróbujcie ją wspólnie z przyjaciółmi lub w samotności, zależnie od pytań, na jakie zechcecie poznać odpowiedź. A oto objaśnienie, w jaki sposób można ją otrzymać.

Pytanie, ułożone najlepiej w formie zdania prostego liczącego nie więcej niż 9 wyrazów, należy zapisać na kartce, a następnie policzyć litery w poszczególnych wyrazach, a otrzymane liczby zapisać w kolejności (wyrazy złożone z więcej niż 9 liter „kabalizujemy” w ten sposób, że zapisujemy sumę obu cyfr liczby, i tak np. zamiast 10 — 1, zamiast 15 — 6 itd.). Ponieważ wyrocznia wymaga 9 liczb, przy krótszych pytaniach liczby pierwszych wyrazów zapisujemy powtórnie, tak, by otrzymać ich łącznie 9. Następnie pod cyframi arabskimi piszemy rzymskie od I do IX i odczytujemy wynik z kwadratu magicznego. Otrzymane w ten sposób liczby rozstrzygujemy w tabeli „znaczenie cyfr”.

Oto przykłady. Nasz kolega redakcyjny zapytał: „Dlaczego do tej pory nie dostałam jeszcze podwyżki?”, a najbardziej dręczącym problemem jego małżonki było: „Czy otrzymam od męża nową kreację sylwestrową?”

Pytanie męża po „kabalizacji” wygląda następująco:

Dlaczego	do	tej	pory	nie	dostałam	jeszcze	podwyżki?
8	2	3	4	5	8	7	8
I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII
34	68	8	20	18	75	74	14
							24

Po odczytaniu zapisanych cyfr otrzymujemy: Przyjemna sprawa przyspiesza oczywiście plan; twoje postępowanie wyjdzie ci tajemnicę, liczne wynagrodzenie.

„Skabalizowane” pytanie jego żony —

Czy	otrzymam	od	męża	nową	kreację	sylwestrową?
8	8	2	4	4	7	8
I	II	III	IV	V	VI	VII
60	44	78	30	30	64	28
						40
						24

— daje odpowiedź: Nieoczekiwana niespodzianka hamuje, oczywiście, początek, twoja dyplomacja zmniejsza niepowodzenie, ufaj w wynagrodzenie. Z czego wynika, że na początku będą trudności z przekonaniem męża, ale dyplomacja kobieca zdecydowanie go zmieczy, tak że gdy otrzyma podwyżkę, na którą już nie liczył, spełni z nawiązką życzenie małżonki. Odpowiedzi mogą być czasem nieco zagmatwane i tajemnicze, ale nigdy bardziej niż przepowiednie delfickiej Pytii. Zyczymy fantazji w domysłach i umiarkowania w realizacji ewentualnych zaleceń, by nie popaść w jakąś niesamowitą kabalę.

KWADRAT MAGICZNY

	1	2	3	4	5	6	7	8	9
I	47	58	69	80	1	12	23	34	45
II	57	68	79	9	11	22	33	44	46
III	67	78	8	10	21	32	43	54	56
IV	77	7	18	20	31	42	53	55	66
V	6	17	19	30	41	52	63	65	76
VI	16	27	29	40	51	62	64	75	5
VII	26	28	39	50	61	72	74	4	15
VIII	36	38	49	60	71	73	3	14	25
IX	37	48	59	70	81	2	13	24	35

znaczenie cyfr

1. radosny (-a, -e), 2. wyjaśnienie, 3. nie wstęp przynigdy w, 4. utrwała sukces, 5. twoja (-a) sprawa (-e), 6. szczęście, 7. działa później, 8. przyspiesza, 9. wiadomość, 10. opóźni, 11. pomysł, 12. podniecający (-a, -e), 13. wyższa (-a) siła (-e), 14. liczna, 15. gmatwa okoliczności, 16. twoje poczynanie, 17. zamiar, 18. na długo, 19. plan, 20. oczywiście, 21. polepsza, 22. wydarzenie, 23. zastanawiający (-a, -e), 24. wynagrodzenie, 25. twą pociechą będzie, 26. urzeczywistni zmianę, 27. twój los, 28. zmniejsza niepowodzenie, 29. twoje przedsięwzięcie, 30. początek, 31. podpadająca, 32. niszczy, 33. połączenie, 34. przyjemny (-a, -e), 35. głos wewnętrzny, 36. ciesz się na, 37. dobre zakończenie, 38. ufaj w, 39. podważa przeciwności, 40. twoja (-a) przyszłość, 41. harmonia, 42. ustala, 43. utrudnia, 44. niespodzianka (-e), 45. nieprzyjemny (-a, -e), 46. rozczarowanie, 47. doniosły (-a, -e), 48. skryta (-a) życzliwość, 49. ufaj w, 50. zapładnia myśli, 51. twój cel, 52. życzenia, 53. z pewnością, 54. faworyzuje, 55. potężny (-a, -e), 56. przyspiesza, 57. zmiana (-e), 58. niepomyślny (-a, -e), 59. pewne (-go) powodzenie (-a), 60. nie zapomnij, 61. przeskadza zło, 62. twoje działania, 63. postęp, 64. twoja (-a) dyplomacja (-e), 65. spełnienie, 66. przejściowo, 67. pomnaża, 68. sprawa (-e), 69. nieoczekiwany (-a, -e), 70. istniejąca (-a) przyczyna (-e), 71. pomyśl o, 72. burzy stosunki, 73. czeka cię wkrótce, 74. wyjdzie ci tajemnicę, 75. twoje postępowanie, 76. protekcja (-e), 77. znakomicie, stanowczo, 78. hamuje, 79. zwrot, 80. niezwykle (-a, -e), 81. sprawiedliwość.



WIEŚCI GRODZKIE



Zambrowianie lubią dawać kwiaty, ale irytują ich wysokie ceny. Twierdzą, że byłyby one niższe, gdyby Urząd Skarbowy nie windował tak podatków.

JADWIGA JARZĄBEK, inspektor ds. handlu w Urzędzie Miasta i Gminy: — Ceny kwiatów są umiarkowane. Zależą od kosztów, jakie ponoszą właściciele na ich zakup. Mamy w mieście dwie kwaciarnie ajencyjne, działające pod szyldem PSS-u, i cztery prywatne. Nie ma między nimi różnicy w cenach kwiatów. Jedynie u pana Andrzeja Kochana są one tańsze, ale tylko dlatego, że ma szklarnię i sam zajmuje się produkcją. Wątpię, czy gdyby kwaciarni było więcej, ceny zostałyby obniżone. Kwaciarnie tak się umawiają, że u wszystkich są one podobne. Ostatnio nikt nie składa wniosków

ZAMBRÓW

o zgodę na otwarcie kwaciarni. Nie ma chyba takiej potrzeby. Na dodatek brakuje lokali. Był tylko wniosek na założenie sklepu z artykułami pochodzenia zagranicznego. Wnioskodawca nie otrzymał zgody tylko dlatego, że sklep podobnej branży znajduje się w sąsiedztwie.

STANISŁAW BAŃKOWSKI, starszy komisarz w Urzędzie Skarbowym: — Kwaciarnie mają obowiązek ewidencjonowania sprzedaży. My badamy, czy prawidłowo to wykonują. Poprzednie kontrole nie ujawniły nieprawidłowości. Nie musieliśmy więc ich karać domiarą. Rozważamy możliwość wprowadzenia ogólnych zasad podatkowych wobec właścicieli kwaciarni. Wówczas będą musieli prowadzić księgi rachunkowe, dokumentować zakupy. Do końca grudnia będzie wiadomo, które z tych rozwiązań zastosujemy w przyszłym roku.



Zespół Szkół Zawodowych mieści się w starych budynkach. Dla nikogo nie były więc chyba zaskoczeniem wyniki kontroli GIT-u, który warunki zakwaterowania i nauki młodzieży ocenił niedostatecznie. Czy są jakiegokolwiek szanse, aby do rekontroli uległy one poprawie?

MIECZYSLAW WARECKI, dyrektor szkoły: — Warunki lokalowe są złe i doraźnie nic tu nie poprawimy. Ubikacje szkolne znajdują się na zewnątrz i brakuje tzw. oczek. Kontrolujący zarzucili nam, że w szkole nie jest prowadzone żywienie. Wizyta wypadła w pierwszych dniach września, kiedy dopiero je organizowaliśmy. Codziennie wydajemy gorące mleko dla 90 uczniów i 53 obiady, nie licząc mieszkańców internatu. Na poprawę warunków socjalnych musimy jeszcze poczekać. Mimo że szkoła istnieje ponad 30 lat, dopiero teraz finalizujemy pierwszy etap rozbudowy. Do dobudowanego skrzydła przeniesione zostaną warsztaty.

SZCZUCZYN

Równoległe do nich powstanie pawilon dydaktyczny z 16 salami i 6 pracowniami. Rozwiąże to nam wiele problemów. Umożliwi chociażby urządzenie pracowni chemicznej z niezbędnym wyposażeniem. Właśnie na braki w wyposażeniu zwrócili nam uwagę kontrolerzy GIT-u. W tych warunkach Sanepid nie pozwala jednak na magazynowanie niektórych odczynników. Kiedy uporamy się z budową nowych obiektów, planujemy rozpoczęcie remontu starych — zlikwidujemy piec, skanalizujemy. Budynek dydaktyczny przeznaczony zostanie na internat, dzięki temu wzrośnie ilość miejsc z 68 do 150. Trudno przewidzieć, kiedy zakończy się remont, ale będzie wykonywał go PBRol, a firma ta wyznacza dość krótkie terminy.

W dalszym ciągu internat i budynki dydaktyczne będą oddalone. Zrodził się więc pomysł, aby przetranszować miasto w zamian za bliżej usytuowany dom nauczyciela. Nam byłoby wygodniej, ale na razie jest to tylko projekt.



Miastu nie brakuje budowlanych, jest nieźle (brakuje oczyszczalni ścieków) wyposażone w urządzenia komunalne, mimo to słyszy się głosy, że zostanie zahamowane budownictwo mieszkaniowe. Przyczyną jest nieprzygotowanie na czas dokumentacji.

KAZIMIERZ LEMANOWSKI, naczelnik miasta: — Skończyły się w Kolnie tereny uzbrojone. Wznoszone są dwa bloki spółdzielcze z czterdziestoma mieszkaniami i na tym zakończy się budowa osiedla. Ale na zlecenie WZSM-u białostocki „Inwestprojekt” przygotowuje założenia ekonomiczno-techniczne pod budowę bloków, w nowym osiedlu obok szpitala. Myślę, że w grudniu dokumenty te zostaną dostarczone. Od początku 1985 roku rozpoczniemy wywłaszczanie terenów, gdyż osiedle położone będzie na gruntach stanowiących w tej chwili własność prywatną. Przewidujemy, że odszkodowanie wyniesie średnio 900 tysięcy złotych za hektar. Oprócz dwóch właścicieli, nie przewidujemy kłopotów z wykupem ziemi. Inżynier przygotowujący założenia programowe osiedla obiecał, że jeśli będziemy potrzebowali, dostarczy

KOLNO

projekt nawet pojedynczych budynków. W ten sposób, na początku 1985 r. wykonane zostałyby posadowienie pierwszego budynku nowego osiedla. Nie byłoby więc przerwy w budowie mieszkań spółdzielczych w Kolnie.

Nie mniej pilną sprawą jest budowa kanału ciepłowniczego. Wicewojewoda obiecywał rozpoczęcie jej jeszcze w 1984 r. Ale do dziś nie zostało zrobione. Pocieszamy się tym, że budowa kanału została zaplanowana w planie inwestycyjnym województwa na 1985 rok.

Są też pocieszające informacje dotyczące budowy oczyszczalni ścieków. Warszawskie Biuro Projektowe przygotowuje dokumentację. Spodziewamy się, że jej budowa rozpocznie się w 1986 roku. Z myślą o oczyszczalni zaplanowaliśmy ułożenie drugiego kolektora ściekowego. Niestety, nie otrzymaliśmy na to zgody Wydziału Ochrony Środowiska UW. Wątpię, czy jest to właściwy sposób zmuszania nas do zajęcia się budową oczyszczalni. Budowa kolektora jest nieodzowna, kiedy będzie już oczyszczalnia — brak drugiego kanału odczujemy jeszcze bardziej.



Mieszkańcy miasta, a także udający się w kierunku Elku, od kilku miesięcy mają uciążliwy problem — jak wiadomo, przebudowywana jest ulica Elcka. Od Pl. 1

Maja ułożono kanał ciepłowniczy. Ale w ostatnich dniach roboty zostały przyhamowane. Przed dalszym „uzbrajaniem” wstrzymuje konieczność położenia kabla telefonicznego, który zapewnia łączność między miastową i międzynarodową, więc mogą się tego podjąć tylko spece z Olsztyna. Budowlani natrafiają też na nieprzewidziane przeszkody. W okolicach remizy strażackiej układających rury zaskoczyła kurzawka. Do obniżenia poziomu wody zastosowane zostały igłofiltr. Jeśli metoda okaże się skuteczna, dopiero można będzie betonować podstawę, na której „spoczną” rury. Przebudowa odcinka ul. Elckiej do Strazackiej to — jak się okazuje — za-

GRAJEWÓ

danie łatwiejsze. Na odcinku wiodącym do „ZAKREM-u” będzie co prawda mniej rur i kabli, które trzeba zmieścić pod ziemią, ale nie ma możliwości zapewnienia objazdu, a na trasie tej ruch jest dość intensywny. Prawdopodobnie zaizoluje konieczność wyłączenia jednego pasma jezdni. Inna możliwość to objazd przez Prostki, Kąjki, Tamę. Wówczas przejazd z Elku do Grajewa wydłuży się o około 30 kilometrów.

Która z tych koncepcji zostanie wybrana, zadecydują zainteresowani, tzn. pracownicy BPRI przebudowujący drogę i główni jej użytkownicy. Decyzje będą musiały zapadnąć na przełomie stycznia i lutego. Może mieszkańcy miasta odpowiedzą, jak problem rozwiązać? Termin zakończenia robót, planowany na połowę 1986 roku, nie jest odległy, ale każdy pomysł umożliwiający skrócenie tego uciążliwego okresu powinien być wzięty pod uwagę.



Gospodarka komunalna przeżywała wiele reorganizacji. Obecnie, co chyba pozytywne, w każdym, najmniejszym nawet miasteczku tworzy się zakłady lub przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej.

Powstały przed dwoma laty Komunalny Zakład Budżetowy w Nowogrodzie po poprzednikach, czyli przedsiębiorstwie komunalnym, oddzielił jedynie wielkie zaniedbania. Majątek stanowiły tylko trzy budynki zamieszkane przez kilkadziesiąt rodzin. Doprowadzony został do nich wodociąg, naprawione dachy i elewacje.

Właśnie budowa wodociągu stała się najważniejszym zadaniem zakładu. Na ogół takie inwestycje prowadzi wyspecjalizowane instytucje, ale gdyby Nowogród czekał w wojewódzkiej kolejce, wodociąg instalowany byłby tu gdzieś około 2000 roku. Najwięcej kłopotów przysparza zaopatrzenie. Po kilka razy w miesiącu szef zakładu i naczelnik miasta jeżdżą po rury, kształtki, zawory, a nawet wanny na południe Polski. Najczęściej do Radomia, Jasła, Katowic.

W 1985 roku planuje się ułożenie rur wodociagowych w rynku wzdłuż ulicy Zamkowej, doprowadzenie do

NOWOGRÓD

domków jednorodzinnych, zlewni mleka. Jeśli dotychczasowe tempo budowy zostanie utrzymane, do 1987 roku każdy, kto zechce, ma szansę z niego korzystać. Woda będzie, ale pod warunkiem, że zostanie także zbudowana hydrofornia. Przy wznoszeniu tych urządzeń nie obejdzie się bez pomocy administracji wojewódzkiej. Jest już podobno dokumentacja i przewidziany termin uruchomienia — 1989 rok. Nowogrodzianie mają jednak wątpliwości i nie zdziwią się, kiedy obowiązek prowadzenia i tej budowy spadnie na Budżetowy Zakład Komunalny.

Nie mniej pilne jest wzniesienie oczyszczalni. Jej budowa powinna ruszyć w przyszłym roku. Właśnie z myślą o kanale ściekowym w ulicy Poległych ułożona została tymczasem nawierzchnia z trylinki. Będzie on odprowadzać ścieki z bloków spółdzielczych. Do oczyszczalni podłączone zostaną też domki jednorodzinne nowego osiedla.

Nie ma problemu ze znalezieniem wykonawców wodociągu, ale potrzebni są pracownicy zatrudnieni na stałe. Tych można przyciągnąć jedynie dobrymi warunkami pracy i mieszkaniem. Na razie baza to — biuro-drewniak z zapadającym się sufitem. Za to gospodarze BZK zdążyli wzniesić już garaże na sprzęt.



Większość mieszkańców województwa spędzi zapewne Sylwestra w domach. Zanikły jakby obyczaj wspólnych zabaw. Przyczyna tkwi ponoć w szczupłych portfelach. Będą jednak

tacy, którzy na tę jedną noc wybiorą się nad Jezioro Rajgrodzkie, tym razem na balie zakładowe.

TADEUSZ KACZYŃSKI, szef kadr w łomżyńskim Oddziale BGŻ-u: — Pracownicy Oddziału i banków spółdzielczych bawić się będą w naszym ośrodku nad Jezioro Rajgrodzkie. Cena zaproszenia wynosi 2000 złotych od pary. Resztę finansują zakłady pracy. Nie wiem jeszcze, co będzie na stołach, ale alkoholu nie zapewniamy.

LECH DOBRZYCKI, kierownik „Kniei”: — Na pewno nie zabraknie ryb, wszak jesteśmy nad jeziorem. Szyńka też musi być. Martwi mnie to, że nie udało nam się dotychczas zdobyć szampana. Obje-

RAJGRÓD

chałem hurtownie, ale bezskutecznie. Natomiast można być spokojnym o poziom muzyki, będzie przegrywała orkiestra ze Szkoły Muzycznej w Grajewie, złożona z nauczycieli. W tym roku nie będzie w ośrodku gości świątecznych, więc Sylwester skończy się dość szybko. Orkiestra zamówiona jest do czwartej rano, później koncert życzeń i o piątej odjazd autokarem do Łomży.

JANINA ABRAMOWSKA, kierownik domu wypoczynkowego „Energetyk”: — Bal organizujemy tylko dla pracowników zatrudnionych w resorcie energetyki. Mamy problem z mięsem. Moglibyśmy kupić świnia, ale nie opłaca się. Będą ryby, lecz z „Centrali Rybnej” w Elku. U naszych rybaków nie można kupić. Z łódki czasem coś się trafi, ale w magazynie — pustki. Gości nie będzie, twierdzą, że 6 tysięcy i tysiąc za Sylwestra za 12-dniowe wczasy to dużo. Chcieliby odpoczywać za darmo?

REDAKUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Ostrowski, Adam Jerzy Socha, Gabriela Szczepańska, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrinczy, Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielski, Redaktor techniczny i korekta — Elżbieta Szupka i Jolanta Pawluk, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Stefan Atlas, Alicja Basta, Leszek Czyż, Adam Dobroński, Bronisław Golebiowski, Piotr Kunciewicz, Krzysztof Kurianuk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Alicja Zagórska, KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel

Wszystkie położone w okolicach Łaskowca są zaopatrywane przez mleczarnię piątnicką. Starania o zmianę dostawcy dla mieszkańców Trzciannego z oddalonych o 11 km Moniek nie dają rezultatu i nabiał wozu się tam z Gajewa (45 km w jedną stronę). Jeśli pominąć nawet koszty transportu, warto wziąć pod uwagę fakt, że często masło, ser i mleko docierają do Trzciannego dopiero po godz. 8.00.

Mieszkańcy Gielczyna postanowili wydać córkę za mąż. Niestety, z powodu szczepienia jednych muszą cierpieć inni. Młodym potrzebne było mieszkanie, które też wynajmował dotychczas na sklep. Wypowiedzenie umowy najmu uaktywniło mieszkańców Gielczyna. Postanowili w czynie społecznym przygotować fundamenty pod nowy sklep. GS zapowiedział wzniesienie pawilonu handlowego jeszcze w 1985 r.

WASOSZ. Mimo że na terenie gminy działa dość prężne koło LZS-u, szefowie łomżyńskiego Zrzeszenia przez dwa lata nie zaszczycili swoją obecnością działających tu członków. Instruuja i szkolą zza biurka, mimo iż w statu-

cie zapisany jest obowiązek przynajmniej jednej wizyty kontrolnej w roku.

Zza biurka działa też wojewódzki konserwator zabytków. Dość długo nie chciał wydać zezwolenia na wyremontowanie ulic w Wasoszu, uznawszy je za zabytki. Ostatnio, bez naczej ekspertyzy (chyba że był incognito), zezwolił na przebudowę. Konserwatorskiego oka wymagają też inne zabytki, np. kościół poklasztorny.

Najprawdopodobniej nie ma w gminie ani jednej wsi, w której działałoby oświetlenie uliczne. Monterzy ze szczytności placówki Zakładu Energetycznego mają na te zatrudni jedno tłumaczenie: brak żarówek.

Ze swoich umiejętności słynie miejscowy pediatra. Ale nawet najlepszy pediatra nie zastąpi stomatologa, a tego (nawet ze średnimi umiejętnościami) ciągle brak.

Goście stosunki między mieszkańcami gminy a Zarządem szczytności GS-u ten ostatni próbuje ochłodzić nie dostarczając węgla ani innych źródeł ciepła do klubów rolnika. Np. GS zgodził się na zainstalowanie pieca akumulacyjnego w klubie w Żebrach, jeśli uczestnicy imprez będą opłacali koszty ogrzewania.

Z MARGINESU

Przedświadczenia w marginesowym interesie objawia się nie tylko pospolitym okradaniem kieszonek klientów, lecz i zaopatrywaniem się już w konkretne artykuły spożywcze i przemysłowe, co znacznie upraszcza życie. Zakupy, wiadomo, do najbliższych operacji teraz nie należą!

Dużym powodzeniem cieszą się radia i magnetofony: ze Zbiorskiej Szkoły Gminnej w Młostkowie zginęły aż dwa radia, z zambrzeskiej restauracji „Lotos” — jedno i 1500 złotych; radiomagnetofon „Kasprzak” — w biały dzień — z grajewskiego mieszkania i ze świetlicy w Żimnej; z Wojewódzkiego Ludowego Klubu Sportowego — zestaw wzmacniaczy i 20-litrowy kanister z benzyną. Nie tylko muzyka sylwestrowa zapewniona, ale i dojazd.

Jedzeniem też się nie gardzi: z baru „Bistro” w Łomży wyłuszczone ponad tysiąc ekspresowych herbatek, kilka paczek kawy i młynek, cukier, pieprz naturalny i smalec; z „Wiktor” — 150 butelek piwa; z restauracji „Kurpianka” w Nowogrodzie — 30 butelek wódki i 50000 złotych; ze sklepu z Zambrzeskich Królach — wędliny, herbatę, słodycze, miód, papierosy i 11000 tys. zł; z łomżyńskiego sklepu przy Bernatowicza — cukierki, bombonierki, czekolady i koniaki.

Nocą nieznanymi osobnikami zwinęli cztery studniaki i trzy siedemdziesięciokilowe tuczniaki, należące do 68-letniego rolnika z Beldy. Potem ułożyli je na drabinie i przenieśli do — stojącego 150 metrów dalej — samochodu, po czym

wywieźli w bliżej nie znanym kierunku, zapewne do odbiorców. Ci, którzy zakradli się do chlewnika przy ulicy Jana z Kolna w Łomży, zastali tam tylko dwukółkę typu „Komar”, którym nie sposób zapętnić świąteczny stół.

W starorzeczach Narwi k. Czarnocina w milicjino-ormowskiej pułapce wpadli kłusownicy ryb. A ściślej — jeden wpadł, reszta zbiegła. Na brzegu zostały trzy sieci, łódź i trochę ryb.

Z prywatnego lasu w Kownatach Mieczysław B. z Łomży wyrąbał 60 sosn, wartych — bagatela — 70000 złotych. Na choinki za duże, na handele — w sam raz!

Z zagranicznej wartościowej przesyłki pocztowej zginęło 70 dolarów USA. Towar dobry na wszystko.

W Stawiskach, choć nie tylko, wzmógł się handel monopolową, a „Vistula” w szczególności. Ostatnio wpadł m. in.: 29-letnia kobieta na urlopie wychowawczym, która miała pecha o tyle, że sprzedała wódkę rabusiom, a tych zwinęła milicja: byli w stanie mocno zakropionym i wyspiewali wszystko; 27-letni kawaler, pracujący w Rejonie Dróg Publicznych, którego matka kilka lat temu była również karana za melniarstwo. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Dwaj bracia napadli na konsumenta w stawiskowskiej restauracji: po wykreśleniu mu ręk wyłuskali 100 dolarów, które szybko rozmięli na polskie grosze, a te z kolei — na wódeczkę.

imprezy kulturalne

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrze: wieczór wigilijny — 20 XII, godz. 16.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: film dla dzieci — 23 XII, godz. 16.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Trzciannem: konkurs rysunkowy ph. „Moja choinka” — 20 XII, godz. 16.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Goniadzu: „Popołudnie z bajką” — 21 XII, godz. 16.00; rozgrywki szachowe — 23 XII, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: „Spotkanie z bajką” — 24 XII, godz. 10.00; wieczór filmowy dla dzieci i młodzieży — 21 XII, godz. 15.00 i 19.00.

wystawy czasowe

Biuro Wystaw Artystycznych w Łomży, ul. Armii Czerwonej 19 (czynne codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): „Najlepszy obraz, grafika, rzeźba roku

sprintem przez boiska

W ubiegłą sobotę w Urzędzie Wojewódzkim odbyło się spotkanie władz z pracownikami i działaczami organizacji sportowych i turystycznych oraz wiejskich klubów, na którym omawiano wnioski pokontrolne GIT-u oraz przedstawiono kierunki działań w dziedzinie sportu, masowej kultury fizycznej i turystyki w roku przyszłym.

Uwaga członkowie szkół podstawowych! W styczniu ogłosimy warunki udziału w drugim wielkim turnieju tenisa stołowego, którego współorganizatorami są AZTS WFS Łomża, Zarząd Oddziału Wojewódzkiego ZSZ oraz ZW ZSMP, KCh ZHP i ZW ZMW. Tymczasem (jeśli nie dopisze pogoda) można rozpocząć doskonalenie umiejętności.

W sobotę 16 grudnia br. w Łapach rozegrano mistrzostwa okręgu w podnoszeniu ciężarów. Z reprezentantów na-

1984” — pokonkursowa środowiska łomżyńskiego.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży, ul. Sadowa 4: „Zespół Pieśni i Tańca z Litwy na Ziemi Łomżyńskiej” — rysunkowo graficzna; „Moja Ojczyzna” — rysunki dziecięce (pokonkursowa).

Miejski Dom Kultury Dom Srodowisk Twórczych w Łomży, ul. Wojska Polskiego 1: „40 lat Socjalistycznej Republiki Bułgarii” — fotograficzna; „Z archiwum MDK—DST w Łomży”.

Klub-Galeria w Łomży, pl. Żeglückiego (czynny codziennie w godz. 12.00—18.00): grafika, rysunek i malarstwo Iwony Sielskiej.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynne w soboty i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00): „Ze starego Mazowsza, gwoli nauki i dla tych, co po nas” — etnograficzna.

Muzeum Rolnictwa w Ciechanowie (czynne codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 9.00—16.00): „Indianie Klezua — górale Peru i Boliwii” — ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrze: tkaniny i malarstwo Stanisławy Truskolaskiej.

szego województwa najlepiej wypadli — w kategorii juniorów młodszych: Jacek Olbrys (Narew) w wadze 75 kg był IV z wynikiem 185 kg (105+80); w kategorii juniorów: Stefan Lomocinski (Olimpia) w wadze 75 kg był II z wynikiem 202,5 kg (90+112,5). Natomiast w kategorii seniorów w wadze do 90 kg Marek Szakola (Narew) był III — 255 kg (112,5+142,5), a Grzegorz Piatek (Narew) w wadze do 100 kg zajął IV miejsce uzyskując 260 kg (110+150).

Sekcja zapaśnicza WLKS Narew ogłasza zapisy chłopaków urodzonych w latach 1971—73. Chętni mogą się zgłaszać codziennie — oprócz sobót i niedziel — w godzinach 17.00—19.00 w siedzibie klubu przy ul. Rybaki 28a. Natomiast w poniedziałki, środy i piątki w tych samych godzinach prowadzone będą zapisy chętnych, urodzonych w latach 1969—71, do sekcji ciężarów.

Wyrazy szczerego współczucia z powodu zgonu
OJCA
kol. LUCYNIE OPOŃSKIEJ
składają Zarząd i pracownicy
„Spotem” CZSS O/Woj. w
Łomży.
K-19

Zakład Mechaniki Pojazdowej
w Łomży
przy ul. Jakubowskiego 4
WYKONUJE USŁUGI
szybko i solidnie.
Zapraszamy
K 9153

Łomżyńskie Zakłady Spożywcze Spółdzielnia Pracy

W ŁOMŻY

zatrudni

osobę z wyższym wykształceniem po przetwórstwie spożywczym na stanowisku technologa. Warunki pracy i płacy do omówienia w biurze Spółdzielni, ul. Zjazd 10. Możliwe są do osiągnięcia bardzo korzystne warunki płacowe. Preferowane będą osoby z dłuższym stażem pracy w przetwórstwie spożywczym.
K 27

UWAGA KANDYDACY NA NAUCZYCIELI I WYCHOWAWCÓW

URZĄD WOJEWÓDZKI W ŁOMŻY

KURATORIUM OSWIATY I WYCHOWANIA

proceedi nabór na STUDIUM PEDAGOGICZNE

dla osób z wyższym i średnim wykształceniem ogólnokształcącym, które po ukończeniu studium i zdobyciu kwalifikacji pedagogicznych podejmą pracę jako nauczyciele w szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych województwa łomżyńskiego.

Studium rozpocznie się w Łomży w styczniu 1985 r. i będzie organizowane systemem zaocznym ze zjazdami dwa razy w miesiącu, w sobotę i niedzielę, bez odzwalniania od pracy zawodowej.

Szczegółowych informacji o warunkach przyjęcia i organizacji studium udziela Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łomży, ul. Nowa 2, tel. 41-24.
K 24

ogłoszenia drobne

M-3 (36 m kw.) w Elku zamienić na podobne lub większe w Łomży. Łomża, tel. 24-85. K-9267

SPRZEDAM M-5 (66 m kw.) w centrum Łomży. Oferty: nr 9138, Łomża, „Kontakt”. K-9138

SPRZEDAM nowe futro — Ray. Łomża, tel. 57-60. K-9147

SKRADZIONO prawo jazdy kat. C. nr 12745/77, Edmund Tchórzewski, Łomża, Prusa 13/12. K-9148

ATRAKCYJNE nagrobki z granitu, marmuru, kamienia polnego poleca Zakład Kamieniarski. Olsztyn, Jodłowa 9, tel. 210-61. K-9149

SPRZEDAM mieszkanie w centrum Łomży. Łomża, Buczka 23/3, Gosiewski. K-9150

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, T, nr 0298/63, Ludwik Makowski, Łomża, Poznańska 14. K-9160

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. B, T, nr 6448/76, Jerzy Kolakowski, Wysokie Małe 12, poczta Rogienice Wielkie. K-9157

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. B, T, nr 0852/81, Waldemar Koldys, Siwki 15, poczta Grabowo. K-9159

MIESZKANIE M-3 (locum), I piętro, 49 m kw. — sprzedam. Zambrów, tel. 39-22. p 3169-00

UNIEWAŻNIA się treści zagubionych pieczęci: „Rejon Energetyczny Łomża Elektromonter Nr 1” i „Rejon Energetyczny Łomża Elektromonter Nr 8”. K-9153

SPRZEDAM silnik do Zuka (stan dobry), tylny błotnik i progi do „Warszawy”. Wszerecz 4 (wieś), poczta Szczepankowo. K-9156

SPRZEDAM nową przyczepę samobieżną PRP-1 (jugośłowiańska). Helena Łosowska, Janczewo, poczta Jedwabne, woj. łomżyńskie. K-9161

SPRZEDAM tanią fiata 125p (1977). Łomża, Zielna 10. K-9163

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. B, T, A, nr 0240/79, Wiesław Prusaczyk, Raginisa 12, Łomża. K-9164

SPRZEDAM telewizor i maszynę do pisania. Łomża, tel. 62-96 (po 16.00). K-9166

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. A, B, nr 2696/73, Gromek Krzysztof, Gielczyn 28, poczta Łomża. K-9169

ZAGUBIONO prawo jazdy kat. B, nr 0851/82, Ewa Chmiel, Gielczyn 28, poczta Łomża. K-9170

SPRZEDAM pawilon handlowy — Biała Piska, Tadeusz Ptak, Snopki 68, 12-200 Pisz. K-9172

SZPRZEDAM telewizor czarno-biały. Łomża, tel. 35-75. K-9167

BIURO Matrymonialne „Mazury” Olsztyn, skrytka 336 skarbnicą ofert krajowych i zagranicznych. k 169-0

24 XII TV 26 XII

24 grudnia

PROGRAM I
9.00 Dla dzieci: „Dziki konik Ryn” — film czech. 16.30 „Encyklopedia TDC”. 16.55 „Ogrody zoologiczne świata” — film RFN. 17.35 Teatr TV: A. Fredro — „Dwie bliźny”. 19.00 Wieczorynka Wigilijna. 19.30 Dziennik. 20.00 „Opowieść o dwóch miastach” — film ang. 22.40 „Muzyczne prezenty pod choinkę”. 23.15 „Gdynia-radio”. 23.30 „...i stała się nowina” — widowisko poetycko-muzyczne.

PROGRAM II
14.15 „Rycerze i rabusie” — serial TP. 15.00 Teatr dla Dzieci: „Największy krasnal świata”. 16.00 „Zwierzęta mówią” (1). 16.10 „Chodźmy po dolinie” — rep. 16.50 „Zwierzęta mówią” (2). 17.00 „Robotnicze koledy”. 17.20 „Zwierzęta mówią” (3). 17.30 „Dziadek i wnuczek” — rep. 17.45 „Zwierzęta mówią” (4). 17.55 „Czas dzieńli opłakiem” — widowisko poetyckie. 18.30 Program lokalny. 19.00 „Zwierzęta mówią” (5). 19.10 „Między” — rep. 19.30 Dziennik. 20.00 „GOPR-owska Wigilia” — rep. 20.20 „Piosenki pod choinkę”. 20.40 „Mój Kraków” — poetycki spacer po Krakowie. 21.00 „Spotkanie z balladą” — „Ostra zima”. 22.10 „Starszy pan I'm sorry”. 22.30 „Skłamałam” — melodramat polski.

WTOREK

PROGRAM I
9.00 Dla dzieci: „O czym szumią wierzby” — film ang. 10.20 „Łowicze spotkania” — rep. 10.45 „Cesarz i piekarz” — film archiwalny CSRS. 12.30 „Panda — super star” — chiński film przyrodny. 12.50 TV Koncert Złoty. 13.45 Teatr Młodego Widza: „Królowa snu”. 15.10 „Przy rodzinnym stole” (1). 15.40 „Królowa na co dzień” — Anna Dymna. 15.50 „Spacer po Warszawie pana Bolesława Prusa” — film. dokument. 16.20 Teatr TV: A. Fredro — „Nocleg w Apeninach”. 17.20 „Królowa na co dzień” — Anna Dymna. 18.00 Wieczorynka Świąteczna. 19.30 Dziennik. 20.00 „Papierowy księżyc” — film USA. 21.40 „Jakże dzisiaj śpiewamy świat” — program rozrywkowy. 22.10 „Królowa na co dzień” — Anna Dymna. 22.35 „Sportowe pożegnania”. 22.55 „Królowa na co dzień” — Anna Dymna. 23.05 „Gwiazdy w zblizeniu” — Tino Rossi — franc. program rozrywkowy. 23.55 „Flic story” — film franc.-włoski.

PROGRAM II

12.00 „Święta w Dwójce” — program dnia. 21.10 „Podróże na taśmie filmowej” — program dla dzieci. 12.50 „Giełda marzeń” — wiersze i piosenki. 13.20 „Szeherazada”. 15.00—19.30 B. Kacyński zaprasza. 15.05 Świąteczny gość — J. Rawik. 15.20 „Świąteczny koncert koled”. 16.10 Świąteczny gość — N. Andrycz. 16.20 Gra I. Paderewski — II Rapsodia F. Liszta. 16.30 Świąteczni goście — M. Zimińska i Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”. 17.00 Śpiewa Jan Klepura. 17.10 Świąteczni goście — Laureaci Konkursu im. J. Klepury — Krynica 84. 17.30 „Rose Marie” — musical filmowy prod. USA. 19.30 Świąteczni goście — G. Brodzińska i J. Jeszke. 19.15 „Maria Callas jakiej nie znamy”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Wokół estrady” — Zespół „Vox”. 20.35 „Rozmowy przy świątecznym stole”. 20.45 „Śpiewnik Domowy”. 21.15 „Rozmowy przy świątecznym stole”. 21.25 „Muzyka małego ekranu”. 22.10 „Kto nie maszeruje, ten ginie” (1) — film ang.

ŚRODA

PROGRAM I
9.00 Dla dzieci: „Rodzina Leśniewskich” — film polski. 10.30 „Krajobraz Polski”. 12.45 „Przy rodzinnym stole”. 13.10 „Tam, gdzie rośnie wanilia” — „Boże Narodzenie w Meksyku”. 13.55 Teatr dla Dzieci: „Pan Twardowski”. 15.13 „Szkoła pod zagłami” — film dokument. 16.00 Teatr TV: A. Fredro — „Wielki człowiek do małych interesów”. 17.10 „Muzyczne prezenty pod choinkę” (2). 17.45 „Pamięci ojców twoich” — rep. 18.15 „Od kadryla do kung-fu” — ang. program rozrywkowy. 18.50 Losowanie Express Lotka i Małego Lotka. 19.00 Wieczorynka Świąteczna. 19.30 Dziennik. 20.00 „Gdyby Don Juan był kobietą” — film franc. 21.30 „Janasowe narodzenie” — film muzyczny-poetycki. 21.55 „Sportowe rekordy roku”. 22.25 „Gwiazdy 84” (1).

PROGRAM II

11.10 „Zima pędziem malowana” — etiuda filmowa. 11.20 Sport dla dzieci: „Gwiazdy i gwiazdeczki”. 12.35 Kalendarz filmowy „Kino-Oko”. 13.55 „Sport i muzyka”. 14.30 „Dzieci białej Zanny” — włoski film przygodowy. 16.00 Piłkarskie variete — czyli świąteczny „Tele-gol”. 17.00 „Liga przebojów sportowych”. 17.30 „Za kulisami” — „Madame Sans-Gene” — program rozrywkowy. 18.15 „Powrót Laudy” — czyli tajemnice Formuły 1. 19.00 Wywiady Ireny Dziedzic. 19.30 Dziennik Telewizyjny 20.00 „Salon muzyczny”. 21.00 „Ze sztuką na ty”. 21.45 „Kto nie maszeruje, ten ginie” (2) — film ang.

23

KONTAKTY

23 XII 1984

30 XII 1984

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18 400 Łomża
Tel. 62-22 83
Wydawca: RSW „Prasa Książka Ruch”
Białostockie Wydawnictwo Prasowe, 15-959 Białystok, ul. Weso-
towskiego 1, Druk. Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 2205/84 r. Nakład 22 000 egz. PL ISSN 0208 6840 Nr indeksu 36 328
Ogłoszenia przyjmują
Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakt”. 18 400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42 43
Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności
Prenumerata kwartalnie — 130 zł, półrocznie — 260 zł, rocznie — 520 zł. Tekstów nie
zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótu i zmiany tytułów M-4.

KONTAKTY

POWIADAM WAM

Oddajemy dzisiaj do rąk naszych Czytelników specjalne, świąteczne wydanie „Konszachtów”. Jest naszą ambicją, aby w chwilach wolnych od wykonywania podstawowej czynności świątecznej, o której pisze poeta w „Futrynie z wierszykiem”, mieli oni co przeczytać z

możliwie największym pożytkiem dla siebie. Stąd dłuższy tym razem wierszyk i podwójna porcja pamiętnika. Radzimy też dokładnie przestudiować rubrykę poświęconą prezentom gwiazdkowym. Sami wiemy, ile z tym jest dzisiaj kłopotów, a przecież coś kupić trzeba. Kończąc odsyłamy jeszcze do naszego sloganu tygodnia. Do zobaczenia!

PODREDAKTOR

☆ pokus ☆ hokus hokus ☆ pokus ☆ HIPNOZA

Dzisiaj sztuka specjalna, którą można bawić gości przy świątecznym stole.

Upatrujemy sobie jakąś „ofiara” wśród obecnych i mówimy: „Jestem hipnotyzerem, napiszę na kartce trzy odpowiedzi na trzy pytania, później ci je zadam, a ty mi odpowiesz tak, jak będzie tam napisane. Musisz tylko o’powiadać szybko, bez namysłu”

Na kartce piszemy; jabłko, czerwony, 8. Złożoną kartkę wręczamy komuś z obecnych. Następnie zadajemy pytanie, jeszcze raz żądając po każdym błyskawicznej odpowiedzi.

1. Wymień szybko jakiś owoc.
2. Kolor.
3. Liczbę parzystą mniejszą od dziesięciu.

Jeśli odpowiedzi będą padły wystarczająco szybko, niemal zawsze będą one właśnie takie, jak napisaliśmy.

Spróbuj, a przekonasz się, że to prawda.

FAKIR

SLOGAN

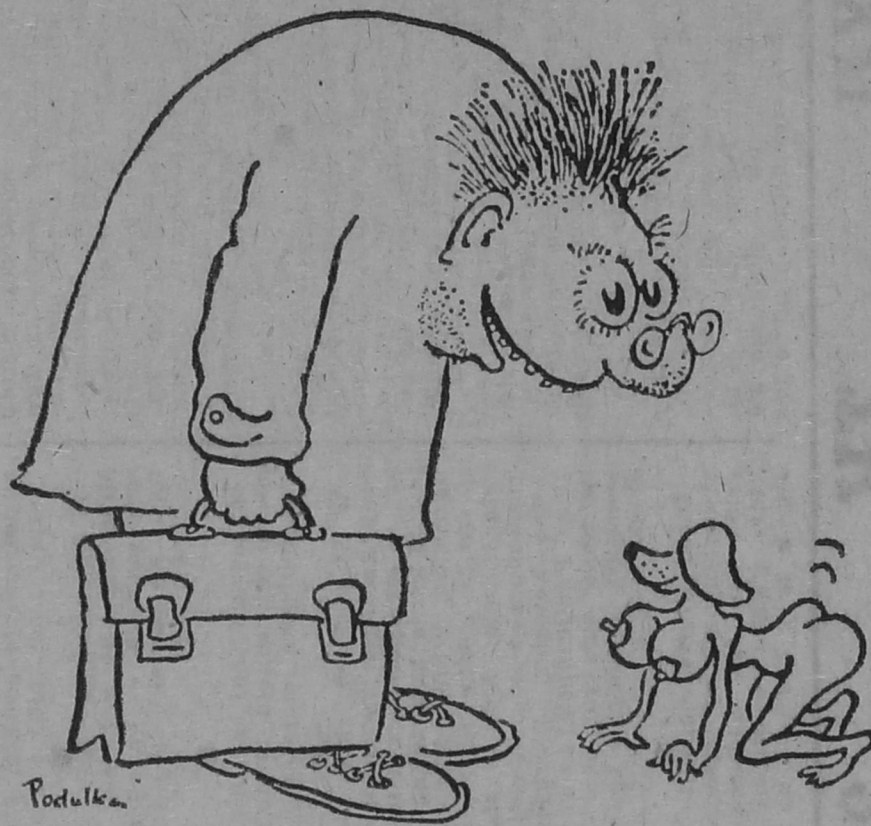
WESOŁYCH
ŚWIAT

TYGODNIA

organ samojestny
pod redakcją
Wiesława Jędrzejewskiego

★★★★

konserwacja



Rys. Andrzeja Podulki

FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

Czeka człowiek na święta
Niecierpliwie dni liczy
Liczy, że się we święta
Raz porządnie wybyczy

Już wigilia i gwiazdka
Stół się łamie pod jądłem
Śledzik, uszka, barszcz, ciasta
Z kuchni zajeżdża sadłem

Rano szybko do stołu
Razem z całą rodziną
By zająć pospołu
Schab z kiebasą i szynką

W południe znowu to samo
Wieczorem wizyta gości
Wujaszek z ciocią i mamą
Powoli przychodzą młodości

Drugiego dnia niestety
Kolejna czeka biesiada
Zostały jeszcze kotlety
Człowiek choć nie chce — zjada

W nocy koszmarnie zwidy
Sny wychodzące z wnętrzości
W snach żarcia piramidy
Mięso wołowe bez kości

Wreszcie normalna praca
I zgaga jak ryba śnięta
Człowiek choć nie pił ma kaca —
po diabła wszystkie kartki z grudnia przeznaczył tylko na święta?

SEKSRUBRYKA

z pamiętnika seksualisty (24-25)

Przebywałem w lochu czas jakiś dłuższy, nie wiedząc nawet, ile dni minęło, bom utracił wszelką rachubę. Zbójowie, na których specjalne żądanie opowiadałem był przeróżne bezceństwa, mimo iżem z braku osobistego doświadczenia płóci, co mi ślina na język przyniosła, zdawali się być ze mnie bardzo ukontentowani. Zwłaszcza Madej kazywał sobie powtarzać dziesiątki razy wszystkie te brednie, tak iż sam na koniec zacząłem w nie wierzyć. Niepodobniestwem było przecież, abym ja, młodzieniec blisko dwudziestoletni, nie poznał jeszcze doznań tajemnych, szczerze dawanych innym w moim wieku przez matkę naturę.

Zdarzyło się wszakże pewnego razu zachorować naszemu dozorczy, który raz dzień nie przynosił nam jądła, zazwyczaj mocno śmierdzące i dzięki temu nadzwyczaj ohydne. Siłą rzeczy zastąpić go musiała żona, starucha bezębna, o twarzy czarownicy z Łysej Góry i postaci kształtem przypominającej wyliniałą hienę. Owa baba przyniosła nam wiadro wodnistej zacierki z brukwią, postawiła je w kącie i, ująwszy się pod boki, tymi słowy się odezwała: — No i jak tam gołąbkowie moi, nie świerzbią wam czasem przyrodzenia? Przykuci do muru nawet ręką sięgnąć do nich nie możecie.

— Pani! — odparł zbój Madej nadzwyczaj grzecznie. — Prawdą jest, co mówisz, tedy zlituj się nad nami nieszczęśliwymi i ulżyj mękom naszym iście pokutnym.

— He? — zdumiało się babsko. — Jakże mam to uczynić bez pomocy kowala? Przyściennie konfiguracje dawno mi już z głowy wywietrzały, a zresztą kto i czym miałby mi za to zapłacić? Nie sądzisz chyba, jeśli jesteś przy zdrowych zmysłach, że za darmo zechcę cię tutaj oblać.

Myślałem, iż na takie dictum trudno będzie znaleźć kontrargumenta, wszelako zbój Madej odparł wcale nie skonfundowany: — Łaskawa pani całkiem opacznie raczyła pojąć moją propozycję. Stojąc przy ścianie latami całami z sił już opadłem, toteż wątpię należy, czy nawet swoją wdzięczną postacią zdołałabyś wykrzesać ze mnie choć odro-

binę niezbędnego w tych sprawach żaru. Wszelako jest tutaj z nami młodzieniec, póki co nie skutu jeszcze łańcuchami. Ma on z pewnością wystarczający zapas siły, tedy z nim się zadam na naszych oczach, byśmy patrząc przypomnieć sobie mogli, jak przebiega owa, nader miła męskim sercom, zabawa. Cwiczony jest w tych sprawach nielicho, o czym sam nieraz nam opowiadał, można więc sądzić, że zyskasz wiele, niczego przy tym nie tracąc. Co zaś do pieniędzy, to wiedz, iż nie jestem biedakiem. Lupiąc na drogach podróży zdażyłem być uzbierać nieco grosiwa. Jeśli uczynisz, o co cię — pani — proszę, powiem, gdzie zakopałem wcale pokazywany garnek.

Słuchałem tej perory z rosnącym przerażeniem, zwłaszcza iż wiedząc zaczęła na mnie spoglądać z wyraźnym zainteresowaniem.

— Ha! — odparła po małej chwili. — Garnek, powiadasz? Na świętego Marcina córkę będę za mąż wydawać, świeży grosz się przyda, dużo tego uzbierałeś?

— Na dobre wesele starczy — odparł zbój Madej z niezdrowym błyskiem w oku. — Zatem czyńcie szybko, co macie czynić, tylko solidnie oraz dokładnie.

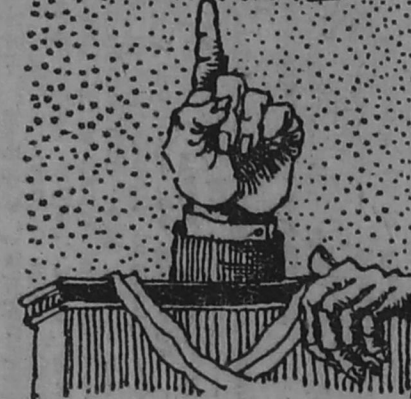
Babsko zaczęło rozglądać się po lochu, wyraźnie szukając sceny, na której mogłoby się odbyć zamierzone przedstawienie, zaś zbójowie, wywaliwszy na wierzch gąły, jeli postękiwać i pomlaskiwać śliniąc się przy tym okrutnie.

„Święty Michale, patronie mój najlepszy! — myślałem, gorączkowo szukając ratunku. — Miałbym tutaj właśnie poznać odwieczną tajemnicę ludzkiego istnienia? Na garstce przegniłej słomy, na oczach wyrzutków, z pokrąką, która tylko z grubsza przypomina kobietę?”

Tymczasem wiedźma, znalazłszy stosowne — jej zdaniem — miejsce, padła na plecy zadzierając w górę podartą kiecę.

— Pośpiesz się, mój chłopcze — zaskrzypiała niczym dawno nie smarowane koło u wozu. — Zaraz muszę wracać do męża, bom zostawiła w kuchni na ogniu polewkę. Bacz jeno, iżbym miała z tego stosowne zadowolenie, w przeciwnym razie długo będziesz mnie pamiętał! (cdn.)

W TYM
TEMACIE



z urzędowej
tablicy
ogłoszeń

„W związku z licznymi zapytaniami komunikujemy, że w roku bieżącym śledzie (ze względu na przykry zapach) będą rozważane w pomieszczeniach wartowni przy bramie głównej od czwartku do piątku (20—21 XII). DZIAŁ SOCJALNY.”

Dopisek ręczny
„Wartownikom nie śmierdzi?”

Drugi dopisek ręczny
„Może i śmierdzi, ale będą mieli zakąskę.”

prezenty
pod choinkę

● Popucie szmaciane z podeszwą częściowo tekturową — 600 zł.

● Szmaciana powleczone na deskę sedesową — 1800 zł.

● Drewniaki firmy polonijnej, podeszwa plastikowa, odparzająca — 2900 zł.

● Włoskie bluzeczki i garsonki z dzianiny, z wstawkami z tkaniny („Moda Polska”) — 10 000—25 000 zł.

● Kieliszki do wina ze zwykłego szkła 1 szt. — 140 zł.

● Wazon z kamionki — 2000—2700 zł.

● Komplet łazienkowy z plastiku: oprawka lustra, podstawka na mydło, ręczka do papieru toaletowego, wieszadło na ręczniki — 12 800 zł.

● „Zitrofix” (cukier + kwas cytrynowy) — 1 op. — 215 zł.

● Kiszki wieprzowe clenkie (bazar) — 1 mb. — 50 zł.

● Lodówki produkcji krajowej (z ogłoszenia) — przeważnie dwa razy drożej niż w sklepie.

● Pralka automatyczna, dywan, zamrażarka (z ogłoszenia) — jak wyżej.

UDANYCH ZAKUPOW!